

AS

Nr. 44
30 PAŹDZIERN. 193
CENA 40 GROSZY

★

WSPOMNIENIA..
ANN SOTHERN

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!



„Wodna panna"
Fot. dr. Stanisław Bialikiewicz, Lwów.



„Powrót do przystani"
Fot. inż. Witold Tyski, Worochta.



„Haft skończony"
Fot. Wiktor Janowski, Kraków.



„Dokąd dzisiaj pojedziemy?"
Fot. Helena Ossowska, Lubawa.



„Bliżej słońca"
Fot. Aleksander Piotrowski, Lwów.



„Na pełnem morzu"
Fot. M. Dzieduszycka, Gdynia.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 44 Niedziela, 30 października 1938 Rok IV

ASY NUMERU 44-GO:



Fot. Studio Lipnitzki — Paryż

Najwybitniejszym i zarazem najpopularniejszym tancerzem jest dziś bezsprzecznie Sergjusz Lifar, który okazał się też najgodniejszym kontynuatorem sztuki wielkiego Diagilewa i jego ucznia Niżyńskiego. Dla nas imię Lifara nabrało specjalnego znaczenia z chwilą, gdy głównie dzięki niemu Paryż zobaczył w świetnej realizacji wielkie dzieło Karola Szymanowskiego — „Harnasie". Na zdjęciu: Lifar w tańcu greckim.



Dziś upłynął rok!

Dwanaście miesięcy dzieli mnie już od chwili, kiedy śmierć zdradziła mi tajemnice czterech istnień, których nie potrafiła rozdzielić.

Pamiętam doskonale... Po dżdżystym jesiennym dniu, pełnym szarych ziemistych oparów — przyszedł mrok. Powolny, mglisty, mokry. Słychać było szmer kropel w rynnach.

Była dziesiąta wieczór. Zapałałem papierosa. Za oknami okrytemi rosą — dudniły spieszne kroki, wśród brzęku deszczu. Zatrzaskiwano bramy. — Światła ulicy gasły kolejno. Szła noc.

Wtedy zadzwoniono do mego mieszkania.

Wziąłem do ręki białą kopertę. Równemi zwyczajnemi, jak w księdze handlowej literami, wypisane było moje nazwisko. List brzmiał:

„Szanowny i drogi panie!

Sprawy moje są uporządkowane. Nie napotka pan na żadne niespodzianki i trudności. Posiadając świadomość tego, pozwalam sobie obciążyć pana prośbą o zajęcie się moim pogrzebem i likwidacją mieszkania, oraz przekazaniem bratu memu, którego adres w Stanach Zjednoczonych załączam — reszty pieniędzy, jakie pozostaną.

Niech pana nie dziwi, że zwracam się właśnie do Niego, ale proszę mi wierzyć, jest pan jedynym moim znajomym. Nie utrzymywałem z nikim żadnych stosunków. Pamiętam doskonale, że rozmawialiśmy kilka razy dość długo. Po poznaniu pana w klubie „Klonowych Liści“ — uczułem do Niego sympatję, która sądzę nie miała nigdy dla pana specjalnej wartości, dziś zaś tembardziej nie może się liczyć...

Wiem, że ciężary którymi pana obarczam, nie należą do miłych. Dlatego proszę mego brata w liście, aby podziękował panu za życzliwość i przeprosił za wszelkie kłopoty“.

U dołu widniał adres Ronarda Neumana w Chicago, data i podpis: Józef Neuman. Do listu dołączone były upoważnienia i inne papiery.

— Cóż on napisał? — zapytała kobiecina i nagle łzy zakręciły się jej w oczach.

— Prosi, abym się wszystkiem zajął...

— To dobrze! To dobrze — wyszeptała Józefowa i rozejrzała się po pokoju. Więc mogę już odejść?...

Pozostałem sam. Zwolna krystalizowały się w mym umyśle szczegóły przelotnej znajomości z tym człowiekiem, który właśnie tego dnia, kiedy

4 LISTY = 4 SYLWETKI

TEKST • I • ILUSTRACJE • J • M • BRZESKI

Niespodziewałem się nikogo. W oczekiwaniu wyjaśnień wpatrzyłem się w drzwi. Weszła służąca i powiedziała z niezadowoleniem:

— Jakaś starsza pani...

— Poproś ją tutaj— poleciłem.

W drzwiach zjawił się pulchny kształt, niezdecydowany i wilgotny.

— Jestem stróżowa z pod pięćdziesiątego na Krętej. Józefowa.

— Proszę usiąść — zaprosiłem kobietę.

Rzecz dziwna, nie zaniepokoiła mnie ta wizyta. Nie ciekawiło mnie nawet, jaką wiadomość przynosi spóźniony gość. Nie nagliłem Józefowej, którą widziałem po raz pierwszy w życiu, aby mi się zwierzyła. Czekałem. A ona tymczasem, moja jesienna nieznajoma, poruszyła się naraz jakoś swobodniej, usiadła w fotelu i powiedziała bardzo głośno:

— Przyszłam, bo właśnie pan Neuman umarł.

I urwała. Zwolna pokój nasycał się zapachem wilgotnej mgły, którą przyniosła na płaszczu i we włosach. Zaległa cisza. Szukałem w myślach postaci Neumana. Józefowa stała się nagle zawstydzona, jakby słowo „umarł“ było czemś niewłaściwem. Podałem:

— No więc, pan Neuman nie żyje...

— Właśnie! To się stało popołudniu. Nie mogłam wcześniej pana zawiadomić, bo dziś sobota. Myłam schody...

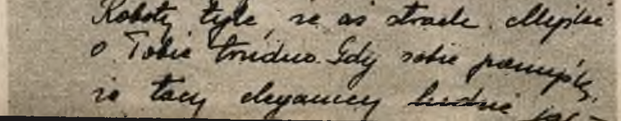
— No naturalnie — uznałem.

— Pan Neuman zadzwonił na mnie. Kiedy weszłam do jego kawalerki — leżał w łóżku. Dał mi list i powiedział: „Ten pan wszystko załatwi“. Potem oparł głowę na poduszce, zamknął oczy... I ju! Nawet nie ostrzegł, że umiera!

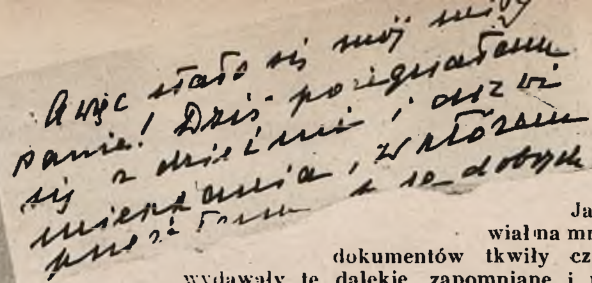
W ostatniem zdaniu wyczułem akcent wyrzutu.

— List jest zaadresowany do pana. Oto on...




Kochany Józku,
Roboty tyle że aż strach. Myślę
o Tobie trudno. Gdy sobie pomyślę,
że tacy eleganccy ludzie





mnie tak silnie opanowała chęć tworzenia — umarł. Właściwie dopiero klub „Klonowych Liści“ przypomniał mi Neumana. Któż to był ten człowiek, który nigdy dotąd nie upominał się choćby o słowo — a dziś uczynił mnie swoim testatorem?

Józef Neuman. Właściwie szary człowiek. Ktoś z tłumu. Pamiętam, że był zawsze starannie ubrany. Nie elegancko i nie przesadnie. Starannie. Włosy blond, umyty, wygolony, porządny. „Porządek“, to zdaje się dewiza mego znajomego. Bał się alkoholu, bo myślał, że burzy ład. Twarz? Widuje się takie twarze za ladami dużych magazynów, w bankach... Raczej sympatyczny. Brak jednak cech odrażających lub pociągających — był dla mnie wielką wadą tej powierzchowności. „Przeciętność“ — oto doskonałe określenie dla Neumana, który był pod każdym względem doskonałą, wspaniałą, precyzyjną przeciętnością. Nie mogły jej zmienić kataklizmy, ani kieliszki, miłość ani karty, ulubione potrawy czy muzyka Strawińskiego. Ale była to przeciętność raczej sympatyczna, wielu ludziom specjalnie odpowiadająca. Gdyby ktoś chciał motywować swe uczucia dla Neumana, znalazłby tysiące powodów. Naprzykład, że ma ładne paznokcie, że nie jest głupi ani zbyt mądry, że nie jest gadatliwy, lub — że potrafi mówić...

Położyłem się spać, nie umiejąc określić mych uczuć po śmierci tego człowieka. Nie było w nim wad ani plusów. Szukałem ich, ale nie odnalazłem. I to najwięcej mnie niepokoiło.

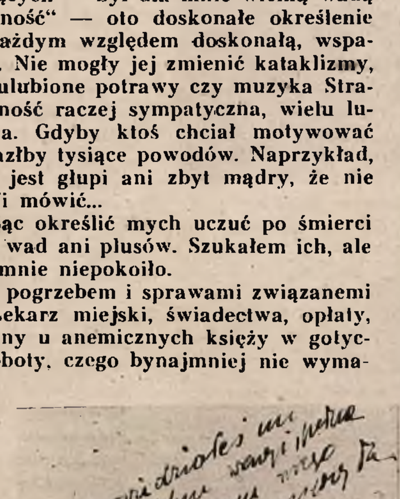
Przez szereg dni zajęty byłem pogrzebem i sprawami związanemi ze śmiercią Józefa Neumana. Lekarz miejski, świadectwa, opłaty, likwidacja mieszkania, odwiedziny u anemicznych księży w gotyckich biurach... Miałem sporo roboty, czego bynajmniej nie wymawiam memu znajomemu.

Wkońcu jednak wszystko zostało uporządkowane i zakończone. Za trumną szedłem sam, co napawało mnie smutkiem. Sądziłem wtedy, że otrzymałem tę chwilową samotność w spadku po mym znajomym. — Rzeczy z mieszkania zostały sprzedane. Pieniądze — dość nawet znaczną kwotę wysłałem do Chicago. Jakieś papiery, kilka listów i dokumenty urodzenia i zgonu, świadectwa itd. — zatrzymałem u siebie. Nie sądziłem, aby fakt ten przysporzył mi kiedyś przykrości, czy naraził na udrękę.

Tymczasem stało się inaczej.

Kończyła się właśnie zima. — Burzliwe zmiany pogody rozsadzały umysł zdradliwemi i przedwczesnemi nadziejami.

Kiedyś porządkowałem me biurko. Darłem niepotrzebne papiery, nagromadzone przez pa



rę miesięcy, układałem notatki. Czas mijał. Wtedy właśnie wziąłem do rąk paczkę, na której widniał napis: Józef Neuman. Otwarłem ją. Jakiś delikatny zapach powiał na mnie nieznaną strugą. Wśród dokumentów tkwiły cztery otwarte listy, które wydawały te dalekie, zapomniane i nic nie mówiące już dziś zapachy. — Drzwi mej pracowni zatrzasnęły się. O szyby rzucił wściekły wicher białe kulki gradu.

Kolejno, jedną po drugiej — otwierałem koperty. Zawierały one listy brzmiące jak wołanie, rzucone w pustkę. Pochodziły od czterech różnych kobiet i adresowane były do Neumana. Czy kobiety te kochały go? Tak! Trzy listy mówiły o trzech wielkich, ale jakże różnych miłościach. List czwarty opowiadał o mym znajomym. Wyłącznie o nim. I podczas, gdy tamte płakały, żaliły się, hardo wyzywały, wyznawały uczucia, ofiarowywały duszę i ciało — ten czwarty list pisany na grubym arkuszu, ukrywał autorkę i jej uczucia w nieprzeniknionym cieniu.

Listy odczytywałem uważnie w mlecznym kręgu lampy. W pokoju wkoło mnie panowała noc. Kolejno odkładałem arkusze. Zdawały się one upadać na mogiłę mego znajomego, jak zeschłe, nieżywe liście — te pocałunki wiosny i słońca. Trzy listy szeleściły wiotkim welinem i pachniały. Każdy innemi perfumami.

Zapachy te stały się z czasem natarczywe i wspomagane treścią — więcej mówiły od podpisów. Często brałem do rąk koperty, zamykające słowa podpisane imionami. Wraz z odczytywaną treścią unosiły



się z czarnych liter nikłe zapachy: bzu, hiacentów i róży. Otaczały mnie one niewidzialnemi postaciami. Z czasem abstrakcyjne kwiaty zamieniły się w postacie kobiece. Były one ciche i krążyły wkoło mnie nieustannie, skoro tylko wszedłem do mej pracowni. — Długo milczały, wkońcu jednak przemówiły. Rozmawialiśmy ze sobą szeptem. Poznawałem i rozróżniałem ich postacie. Przywoływałem do siebie imionami kwiatów.



Dokończenie na str. 20-tej.

TROP W TROP ZA JELENIEM...



Na lewo: Jeden ze zrębów w lasach bar. Grödlów w Skolem, na których jelenie odbywają swe rykowiska. Fot. Inż. F. Ritter.

Poniżej: Z tegorocznego rykowiska w Skolem: Czternastak znaleziony przez posokowca. Fot. autora.

Pomnę, ojciec waśćin gadał
jeśli w sercu co zakole,
lub kto sęka w głowę zadał,
gdy masz troski, bole
Ruszaj bracie w pole
Ruszaj bracie w pole.

Tak brzmi pieśń Chorążego z III aktu „Hrabiny“ Moniuszki. Jakże prawdziwa to i mądra pieśń! Jeżeli kiedy polecenie redakcyjne wyjazdu reportażowego na rykowisko w Skolszczyźnie przyszło bardziej w porę, to właśnie w okresie tak wielu trosk, obaw i nadziei, kiedy się ważyły losy Śląska Zaolzańskiego, a wojna wisiała w powietrzu. Nic tak nie odrywa myśli od trosk, jak polowanie, zwłaszcza łowy wysokogórskie. Trudy wdrapywania się po stokach, zrębach, poprzez wichrami obalone drzewa, zwały gałęzi i młaki, przy wciąż napiętej uwadze na odgłosy przyrody, zmusza do zapomnienia o wszelkich troskach.

Trudy to jednak rozkoszne. Najwięcej w Polsce można ich zażyć w Karpatach Wschodnich, miejscami jeszcze zupełnie dzikich. Jechałem do Skolszczyzny, majątku br. Grödlów. Majątek ten obejmuje 26.000 ha lasów własnych i prawie drugie tyle terenów łowieckich, dzierżawionych, z setkami jeleni i wszelakiego dzikiego zwierza. Grödlowszczyzna leży na szlaku Lwów—Ławoczne—Węgry, w kierunku pamiętnego więzienia Drugiej Brygady w Hust. Lasy graniczą długim pasem z aktualną obecnie Rusią Zakarpacką. Przełęczą na Ławoczne walili ongiś, przed tysiącem lat Madziarowie z północy ku żyznym ziemiom zakarpackim. Grödlowszczyzna stanowi część nieprzerwanej przestrzeni Karpat Wschodnich, zalesionej świerkiem i jodłą oraz bukiem, jaworem i olszą, poprzerywanej spadzistymi jarami. Na południowych stokach Karpat kończy się panowanie drzewa szpilkowego. Lasy te są najwspanialszem eldorado dla jelenia, króla gór, który lubi spokój i chce żyć zdaleka od gwaru ludzi. Nic dziwnego, że tu, mimo postępu kultury leśnej, jest raj łowiecki, ściągający myśliwych z całego świata w okresie jelenich godów jesiennych.

Trudny, lecz jakże rozkoszny jest podchód pod ryczącego jelenia, jakże miły, nawet podchód nieudany, nie dający upragnionych wieńców króla gór!

Po noclegu w leśniczówce Butywla, skoro świt jestem już gotów do marszu. Siwy szron leży na trawach. Onegdaj było tu 8 stopni mrozu. Niebo zaczyna się różowić i z szarego zmienia się na zimny seledyn. Przedemną na horyzoncie rysuje się falisty grzbiet Paraszki, na prawo i lewo od leśniczówki piętrzą się strome góry z szaremi plamami zrębów. Na nich to ryczą jelenie. Słyszę zdala potężny ryk: sądząc po sile głosu, wydaje go wspaniały okaz byka. Z toru kolejki leśnej wspinam się wprost w górę ku gęstwiie drzew z towarzyszącym mi miłym moim gospodarzem, leśniczym inż. Ritterem. Idziemy powoli.





Pałac bar. Grödlów w Skolem. Fot. K. Szczepański.



Hr. Limburg z Pomorza z wieńcami nieregularnego czternastaka, ubitego w Butywli (Skole).

— Którędy dostaniemy się na szczyt i jak długo trzeba iść? — zapytuję mego towarzysza.

— Prosto i jakie półtorej godziny—odpowiada lakonicznie.

Półtorej godziny?! To chyba dla niego, dla mnie to pewnie najmniej dwie albo i więcej. Ale trudno, nie przyjechałem tu, by chodzić po autostradzie.

Ryk jelenia dochodzi nas z lewej, z góry, coraz silniej. Serce bije nadzieją zdobycia kapitalnych wieńców. Pniemy się ku górze miarowym krokiem. Ba, miarowym, jak długo niema wiatrołomów, przez które trzeba się przedzierać w sposób przedziwny dla zwykłego mieszkańca miasta. Bo to nietylko same wykroty, które można ominąć, ale i całe zwały leżących gałęzi, po których trzeba chytrze i przemyślnie balansować, przyczem nogi często zapadają się niespodziewanie w próchno. A tu trzeba iść cicho i ostrożnie.

Całe szczęście, że mamy wiatr dobry tak, iż trzask łamanych pod stopą gałązek nie dojdzie zwierzyny. Dobry wiatr w czasie podchodu to rzecz bardzo ważna, nietylko ze względu na doskonały słuch, lecz i na węch jelenia. Przedziwnie subtelną mają jelenie budowę kostną nozdrzy z „filtrem“, zwiniętym w trąbkę, podobnym do najdelikatniejszej siateczki azbestowej. Przyroda dała jeleniowi niezwykle skuteczną obronę w postaci wspaniałego węchu.

Idziemy dalej. Gąszcz. W powietrzu nad nami pokazał się jastrząb i zawisł nieruchomo. Lustruje las za żerem. Pragnie zaspokoić wściekły głód, skręcający mu wnętrze. Zobaczył dzięcioła — kowala leśnego i uczuł pożądanie świeżego, gorącego mięsa. Błyskawicznym atakiem strzelił z góry na upatrzoną ofiarę. Dzięcioł jednak jeszcze szybciej umknął dookoła pnia i ukrył się w dziupli. Atak się nie udał. Jastrząb bezszelestnym, miękim a falistym łukiem odleciał. Nie łatwo mu przychodzi zaspokojenie głodu. I mnie nie łatwo idzie wspinanie się ku szczytowi. W połowie góry ryk jelenia, którego podchodziliśmy, nagle ucichł, widocznie albo nas usłyszał, albo zwietrzył, albo go też ostrzegła łania, przodownica jego haremu.

Jeżeli kiedy trzeba dużo optymizmu, to pewnie w takim wypadku. Mimo zmęczenia idę dalej, choć czuję, że zaczyna mi brakować sił. Wstydzę się przyznać do tego. Przystaję i niby to nadsłuchuję głosom lasu i rykowi drugiego byka, widzę jednak, że się mój towarzysz krzywi, więc skupiam całą wolę na jaką mnie stać i posuwam się ku górze, stwarzając sobie przysłowie „chleb bez soli — chłop bez woli, djabła wart“. Wola zwyciężyła wprawdzie, ale i ten byk tymczasem przeszedł na inny zrąb. Trzeba szukać dalszego. Na szczęście w Grödlowszczyźnie nie trzeba się o to kłopotać, wszak koło nas ryczy teraz, choć już druga dekada października, aż sześć byków. Na razie jednak siadamy na jakimś pniu i odpoczywamy. Ściśle mówiąc, ja odpoczywam, a mój towarzysz stoi i słucha. Nagle rozlega się trzask łamanych gałęzi i stąpanie. Czyżby niedźwiedź?! Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego, boć w samym rewirze Butywla jest ich obecnie coś 16 stałych. Trzask zbliża się ku nam. Z gąszczu wyłania się zdyszany pastuszek, cały drżący.

— Pane — woła. — Na połonyni medwid... spyt...

— Spi? Teraz?

— Taki spyt — odpowiada.

A no chodźmy zobaczyć to dziwo. Na połoninie za zrębem barwi się coś brunatnego na ziemi. Podchodzimy, nie rusza się...

Dokończenie na str. 20-tej.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Znaczki Czecho-Słowacji przedrukowane cyfrą 1.20, pojawiły się już kilkanaście dni temu w handlu, a ponieważ nakład miał wynosić tylko 10.000 dla sztuki za 1 Kc. żądano za nią blisko 10 złotych! Nie ulega wątpliwości, że będą to znaczki cenne, jak zwykle jednak, to co można nabyć odrazu, nigdy nie zwyżkuje później raptownie. Te zaś nowości, których handlarze nie posiadają zaraz po emisji, te znaczki już po roku stają się białemi krukami. Mówimy tu np. o znaczku żałobnym księstwa Liechtenstein za 3 franki, który ukazał się w sierpniu. Nie oferowała go żadna z polskich firm, a w ogłoszeniach zagranicznych było także trudno się go doszukać. Obecnie oczywiście jest on nadal w Polsce nieosiągalny, a parę zaledwie firm francuskich i holenderskich wysprzedaje resztki po 19 złotych przy dawnej wartości nominalnej 3.60.



Najnowsza serja znaczków Z. S. R. R. z widokami Krymu.

Jakiż z tego wniosek? Trzeba być już bardzo doświadczonym zbieraczem, aby umieć przewidzieć jakąkolwiek zwyżkę, a tam, gdzie wysokość nakładu jest okryta tajemnicą ,tam zawsze mogą zajść niespodzianki. Najbardziej może charakterystycznym przykładem jest znaczek jubileuszowy Bośni i Hercogowiny z r. 1910 za 5 koron. Przecież była to ,murowana" pozycja w katalogach, ustalona na 6 koron netto, a po przewrocie, gdy tego właśnie znaczka nie przedrukowano, wypłynęły jakąś ciemną drogą wszystkie zapasy na światło dzienne. Dzisiaj przy cenach rabatowych nikt nie da więcej za taki dawny rarytas aniżeli 50 groszy.

Podobnie zakończy się także potop znaczków sowieckich. Istnieją tu dwie ewentualności: albo wszyscy przestaną zbierać te wydania, które nie są w stu procentach regularne, albo też sowiecki monopol znaczkowy zostanie zniesiony. Jak można zaś ustalić, które serje są okolicznościowe, a które normalne? Wskaźnik jest tu zupełnie niezwykły: regularnemi są te rosyjskie serje, których nie rozsprzedawano z oryginalną gumą z kasownikiem „grzecznościowym". Nie potrzeba chyba dodawać, że w ostatniem dziesięcioleciu liczba nieregularnych seryj wyniosła ponad 90 proc. wszystkich emisyj.

Sensacją były swego czasu rzadkie potrójne znaczki włoskie, wydane dla korespondencji przewożonej przez eskadrę samolotów udających się z Rzymu do Nowego Jorku. Dopiero dzisiaj pojawiły się w katalogach notatki oznajmiające, że pewną ilość egzemplarzy przedrukowano napisem „New York—Roma" przed rozpoczęciem drogi powrotnej. Cena takiej sztuki wynosi 1100 złotych netto tak, że jest to chyba jedna z największych rzadkości.

W. H.

Doskonała piękność całego ciała....

dzięki olejkowi oliwkowemu





Powierz swą cerę temu samemu mydłu piękności, któremu zaufały miliony kobiet na świecie. Jest ono najpopularniejsze u kobiet Francji, Anglii, Ameryki i 78 innych krajów. To samo mydło Palmolive, które nabywasz w Polsce. Przy kupnie wystrzegaj się naśladownictw i żądaj mydła Palmolive.



Mydło Palmolive jest wyrabiane na olejku oliwkowym... naturalnym olejku piękności. Dlatego też posiada ono ten delikatny oliwkowo-zielony kolor... jedynie i wyłącznie dzięki olejkowi oliwkowemu. Z tej samej przyczyny piana mydła Palmolive jest tak odmienna, taka obfita i aksamitna, przenika tak głęboko, udelikatnia i upiększa. Skóra staje się miękka, elastyczna i promienna.

Miliony kobiet używa tego naprawdę ekonomicznego mydła, aby zapewnić sobie czar i piękno zarówno twarzy, jak i całego ciała. Codziennie rano i wieczorem powinna Pani używać mydła Palmolive. Przekonasz się, jak szybko skóra Twa odżyje. Po miesiącu przyznasz, że żadne mydło nie działa tak znakomicie, jak Palmolive, mydło wyrabiane jedynie na drogocennych olejach oliwkowym i palmowym.

SHAMPOO PALMOLIVE PIELĘGNUJE WŁOSY JAK MYDŁO PALMOLIVE CERĘ

Sensacyjny numer

VICKI BAUM

PRZEKŁAD HELENY HELLERÓWNY

NOWELA

Mistrz w strzelaniu, Brandt, siedział w wozie aktorów wędrownych, grając sam z sobą w warcaby. Czynił to zawsze przed wyjściem na arenę, ażeby uspokoić nerwy i ręce. To też był niezadowolony, gdy ktoś nagle otworzył drzwi.

— Co się stało? — zapytał gniewnie.

— Rodini...

— Wypadek?

— Tak. Złamał kręgosłup i zginął... Proszę, niech pan zaraz idzie...

— Znowu za wiele wypił — mruczał strzelec, ubierając powoli zielony frak. — Dyrektor wie przecie, że powinienem mieć spokój przed moim numerem...

— Idzie o Sułtana, który ma złamaną nogę — powiedział ze łzami w oczach jeździec cyrkowy.

Brandt zbladł. Po chwili wyjął rewolwer ze swej zniszczonej walizki.

— Chodźmy — rzekł.

— Publiczność niczego nie zauważyła — opowiadał jeździec. — Dyrektor wysłał na arenę clownów, gdyśmy go zabierali...

Grupa milczących mężczyzn otaczała zranionego konia.

— Pozostawiam ci zaszczyt zabicia Sułtana — zwrócił się dyrektor Lenz do Brandt'a.

Oczy Sułtana zasnuwała mgła. Objąwszy zwierzę za szyję, szepnął mu Brandt kilka słów do ucha. Następnie, wyszukawszy odpowiednie miejsce, przyłożył doń rewolwer i gładząc konia lewą ręką, wystrzelił nagle. Dał się słyszeć huk, skóra Sułtana zadrżała i zwierzę upadło. Gdy je wynoszono, Brandt nie ruszał się.

— Masz jeszcze kwadrans czasu — powiedział dyrektor.

Brandt wahał się przez chwilę, poczem skierował się w stronę wozu Rodini'ego.

— Proszę nie wchodzić! Zabraniam panu! — zawołała stojąca przy wozie Ria, córeczka Rodini'ego.

Brandt spojrzał na nią ze zdziwieniem. Jej oczy były błyszczące, suche.

— Pogardzał pan moim ojcem, a on nie lubił pana — mówiła. — Tatuś nie był pijany, to nieprawda! — dodała, zwracając się do otaczających wóz cyrkowców.

Brandt cofnął się.

— Bardzo mi przykro — szepnął.

I usunąwszy się w cień, znikł.

* * *

Cyrk wyjechał z Budapesztu do Wiednia. Brandt zobaczył Rię dopiero po kilku tygodniach, gdy ćwiczyła na arenie. Przypomniał sobie, że Ria nie ma również matki. Wydawała się taka malutka i opuszczona...

— Dobrze się miewasz? — zapytał.

Nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego i z przerażeniem stwierdził, że płakała z zaciśniętemi wargami.

— Czemu płaczesz? — zapytał szybko. — Żal ci ojca?

Wstrząsnęła główką.

— Nie... mnie...

Brandt nie wiedział, co powiedzieć.

— Dyrektor wyrzuca mnie — dodała ze smutkiem.

— A czy umiesz jeździć konno? — rzekł po namyśle.

— Boję się — odparła.

— Przynajmniej nie kłamiesz — powiedział, gładząc jej włosy.

— Nic nie umiem... — rzekła, patrząc mu po raz pierwszy prosto w oczy.

— Zatem dokąd zamierzasz się udać? — zapytał wruszony.

— Nie wiem... nie znam nikogo.

Była zrozpaczona, lecz uśmiechała się.

— Gdybyś chciała, to... to mogłabyś występować razem ze mną — powiedział, odchodząc szybko, podczas gdy zdziwiona dziewczynka patrzyła za nim.

* * *

Matka Rii pochodziła z rodziny hrabiów Erdoedy. Uciekła z domu, zakochawszy się w pięknym Rodinim. Mała Ria odziedziczyła po niej urodę i usposobienie. Nienawidziła wszystkiego, co miało jakąkolwiek łączność z cyrkiem. Brandt był Szwajcarem. Stronił on od kolegów, lubił jedynie dzieci i zwierzęta. Gdy zaczął uczyć Rię, ażeby mogła uczestniczyć w jego numerze, miał 41 lat. Dopiero po trzech miesiącach przestała drżeć na odgłos jego strzałów. Ria zachwycała się jednak swym pięknym zielonym frakiem i lakierkami, przeglądając się ustawicznie w lustrze.

Codziennie rano ćwiczyli na arenie. Ria uczyła się trzymać świecę, której płomień on gasił strzałem. Nie krzyczała już teraz, wstrzymywała oddech; bała się jeszcze ciągle, ale umiała się opanowywać.

— Dzielna jesteś — mówił widocznie wzruszony Brandt.

W rzeczywistości był bardziej niespokojny niż Ria. Poszedł z nią do miasta po kapelusz, przybrany sztucznemi wiśniami, o którym marzyła od wielu miesięcy. Dyrektor uśmiechnął się dziwnie, gdy wróciła tak śmiesznie ubrana w towarzystwie strzelca.

— Miej się na baczności, Brandt — powiedział w kilka dni później.

— Pod jakim względem? — zapytał ostro mistrz.

— Tak wogóle — odparł złośliwie dyrektor.

Brandt odszedł do swego wozu, gdzie znów grał z sobą w warcaby.

Numer stawał się coraz bardziej urozmaicony. Ria trzymała kartę, w której Brandt przestrzelał asa kierowego, opierała się o ścianę, podczas gdy on strzelał do kolorowych żarówek... Było to w Dreźnie i Ria występowała w obcisłej sukni z pajetów.

W rok później, przed wyjazdem do Ameryki, ożenił się z nią. Fotografja Rio ukazała się w dziennikach; przestała sypiać z innemi dziećmi i zamieszkała w wozie Brandt'a; pozatem nie wiele się zmieniło. Brandt oddawna utracił spokój, którego żadne ćwiczenia nie mogły mu przywrócić. Jego miłość dla Rii była równie spontaniczna jak niegdyś litość. Ożenił się z nią, ażeby się uspokoić, a tymczasem namiętność pożerała go. Czasami patrzył na swe ręce i zdawało mu się, że utracił władzę nad niemi. Ale nie śmiały zadrżeć, więc uspokajał się.

W Meksyku podczas przedstawienia opuścił rewolwer. Nie był w stanie strzelać do lamp, pośród których stała uśmiechnięta Ria. Mieszkanie w wędrownym wozie denerwowało go i na swój koszt przeniósł się do hotelu. Ria stwierdziła że zdziwieniem, iż wynajął dwa oddzielne pokoje. Gdy budziła się rano, Brandt stał przy jej łóżku. Wyraz jego twarzy był dla niej zagadką. Uśmiechała się drwiąco. Bała się wprawdzie jego pistoletów i strzelb, ale zdawała sobie sprawę ze swej władzy nad nim.

Pragnęła przenieść się z cyrku do music-

hall'u w wielkich miastach, gdzie panowie przychodzą we frakach, a panie w wieczorowych narzutkach.

— Będziemy mieli znacznie większe dochody — przekonywała Brandt'a. — Taki mistrz jak ty..

— Mistrz nie powinien być zakochany w swej żonie — odpowiadał. — To przeszkadza w pracy.

Całowała go wzruszając ramionami.

* * *

W berlińskim „Wintergartenie" po podniesieniu kurtyny na scenie panowały ciemności. Widać było jedynie dwa czerwone punkciki papierosów. Brandt, a raczej jakiś elektrotechnik w górze zapalał światło i oczom publiczności ukazywał się wytwornie urządzony pokój. Brandt był eleganckim, siwawym mężczyzną we fraku, który — jak się zdawało — wrócił do domu z żoną nieco podchmielony. Mimo przestróg młodej i pięknej żony zaczął się raczyć koniakiem. Młoda kobieta wyrywała mu z ręki kieliszek i uciekała w róg sceny. Wówczas on wyciągał z kieszeni rewolwer i celnym strzałem tłukł kieliszek w jej ręku. Nie przestając się uśmiechać, kobieta podchodziła do stołu i zapalała drugiego papierosa. Przestrzelał papierosa w jej ręce. Ona brała innego; strzał wyrywał go jej z ust. Kobieta wstawała nieco zdenerwowana, brała srebrną torebkę, z której wyjmowała pomadkę do warg i lusterko. Jedną kulą mąż trafiał pomadkę i lusterko. A potem podchodził do lustra, przygładzał swe siwiejące na skroniach włosy i przestrzelał podwiązkę żony, którą ona właśnie poprawiała. Publiczność wstrzymywała oddech: to wszystko wydawało się takie niebezpieczne... Mężczyzna był pijany, zataczał się, trzymał się stołu, gdy strzelał... Jego partnerka ciągle się ruszała. Wydawało się niemożliwością, ażeby numer mógł się zakończyć bez postrzelenia jej. Wkońcu żaden ze znajdujących się na scenie przedmiotów nie był cały, publiczność krzyczała, kobiety zakrywały sobie oczy, mężczyźni zrywali się z miejsc.. A potem dźwięki tanga milknęły nagle, kobieta z ironicznym uśmiechem rzucała mężczyźnie całusa na dobranoc, a on strzelał do sztucznego kwiatu lilji w jej włosach... I znowu równocześnie z oklaskami rozbrzmiewały dźwięki tanga, a kobieta uśmiechała się niewinnie do swego towarzysza, zdziwiona i rozbawiona. Artystów wywoływano z dziesięć razy przed rampę, kłaniali się, szalone powodzenie.

— Czy to istotnie jego żona? — pytał jakiś pan w loży.

— Ależ skądże! — odpowiadała jego towarzyszka — to z pewnością jego córka.

* * *

Odtąd jeździli z jednego music-hall'u do drugiego i zarabiali moc pieniędzy. Ria stawała się coraz spokojniejsza, a Brandt bardziej nerwowy. Wiedział on, że najmniejsza nieuwaga z jego strony może spowodować śmierć Rii, którą kochał nad życie...

* * *

W Marsylji Brandt spotkał się ze swym dawnym dyrektorem cyrku Lenza. Znali się 20 lat.

— Mam 44 lata, a Ria dziewiętnaście — powiedział mu Brandt. — Kocham ją bardzo, chciałbym żeby była zadowolona z życia, ale nie można odgrywać roli amanta i wykonywać równocześnie niebezpieczne sztuczki... Nie wiem, co czynić...

— Sytuacja nie wydaje mi się wcale taka dramatyczna — zauważył pocieszającym tonem Lenz.

— Ty tego nie zrozumiesz... Gdybym nie starał się o utrzymanie w formie, żył tak, jakbym tego pragnął, zabiłbym ją któregoś wieczora.

— Fantazje... — A jeśli powstrzymasz swe zapały?

Brandt milczał przez chwilę.

— Boję się, że ją utracę — rzekł.

Stary spuścił oczy. Wstydził się nieco za swego dawnego przyjaciela.

— Jest młoda, nudzi się...

Lenz wstał.

— Może chciałbyś zobaczyć syna Sułtana? — zapytał. — Mamy też dwa młode lwiątka.

Brandt wstał i poszedł za starym do namiotu. Życie wydawało mu się rozpaczliwie smutne.

Ria spotkała Jerzego po raz pierwszy w Londynie, w dniu, w którym kończyli tam występy.

— Wszyscy artyści nienawidzą mnie, gdyż nie umiem nic prócz śpiewania piosenek — powiedział młodzieniec.

— Widziałam pana na afiszach, pan jest sławny — odpowiedziała Ria.

Uśmiechnął się mile połechtany.

— Ależ to tylko reklama — rzekł.

Rozmawiali z ożywieniem.

— Więc pani wyjeżdża?

— Tak, jedziemy do Dublina.

— Zawsze to samo. Ludzie się spotykają i rozchodzą. A mógł to być cudowny miesiąc.

— To mój mąż — oznajmiła Ria, gdy Brandt się zjawił.

— Bardzo mi miło — rzekł Brandt

— Niesłychanie mi przykro, że nie będziemy występowali w tym samym programie — zapewniał Jerzy. — W Medjolanie opowiadano mi cuda o numerze państwa.

— Jesteśmy zaangażowani na luty do Monte Carlo — powiedziała Ria.

Możnaby przypuszczać, że wyznaczała mu spotkanie. Uśmiechnął się do niej, mrużąc oko.

— Może drugie spotkanie będzie szczęśliwsze — rzekł.

Skłonił się Brandtowi, złożył długi pocałunek na ręce Rii i znikł w korytarzu.

— Pies do polowania — szepnął za nim Brandt.

Ria spotkała Jerzego jeszcze dwukrotnie. Gdy przyjechała do Neapolu, on wyjeżdżał; w Bukareszcie było przeciwnie. Zamienili z sobą parę słów, zamilkli i patrzyli na siebie. Ria miała wrażenie, że sobie coś przyrzekli. Nie nudziła się już; siedząc przed lustrem zastanawiała się, czy jest dość piękna dla niego. Wyobrażała go sobie otoczonego kobietami, pijącego szampana. Może jako dziecko widziała gdzieś taki afisz.

* * *

Wreszcie w Budapeszcie Jerzy występował w tym samym programie, co i oni. Od pierwszego ich spotkania upłynęło już jedenaście miesięcy.

— Więc w końcu dopiąłem tego, że będę panią codziennie widywał — powiedział Jerzy, gdy Ria przyszła rano do Orfeum rozpakować rzeczy.

Spojrzała na jego piękną, uśmiechniętą twarz.

— Pan kłamie, prawda?

— Tak, ale te kłamstwa są milsze od prawdy — odparł śmiało.

Brandt zjawił się z pudłem z pistoletami.

— Mówiłem właśnie małżonce pana, jak się cieszę, że będę mógł nareszcie zobaczyć słynny numer pana — rzekł Jerzy.

— To w tem mieście zabił się mój ojciec — zauważyła z roztargnieniem Ria.

Program trwał miesiąc, poczem Jerzy miał wyjechać do Pragi, a Brandt do Włoch. Świadomość, że wkrótce będą się musieli rozstać sprawiała, iż każda razem spędzana chwila była dla nich niesłychanie cenna. Ria dopiero teraz zrozumiała jak bezbarwnem było dotychczas jej życie. Jej ciało pragnęło pieszczot, cygańska krew burzyła się.

Dokończenie na stronie 12-tej.

NA DROGACH WIELKOPOLSKI

Jesienne popołudnie powoli zapadało nad okolicą. Kopyta końskie uderzały rytmicznie o kamienie drogi, prowadzącej z Gniezna w stronę Żydowa.

Rozglądałem się, by stwierdzić zmiany w okolicy, której nie widziałem już kilka lat. Wszędzie powstają nowe wille, domy z małymi, ale jakże miłymi ogródkami. Porządek wielkopolski i wielkopolski rozkład: nieraz przypomina to miasteczka belgijskie czy holenderskie. Widać, że ludzie oszczędzają, myśląc o przyszłości. Ideał własnego domu z ogródkiem, do którego dojeżdża się na charakterystycznem dla zachodniej naszej dzielnicy „kółku" staje się popularny.

Bryczka zjeżdżała w dół; naokoło rozciągają się pola ogołocone z zboża, dalej, na szarej ziemi, pługi ciągnione przez rosłe konie znaczą brunatną bruzdę. Z satysfakcją obserwowałem rzetelną, wolną, dokładną pracę chłopa za pługiem: ta sylwetka urastała niemal do znaczenia symbolu.

Ziemia wielkopolska! Tak stara, dostojna, pamiętająca tak wielkie chwile, zawsze wierna polskości, wierna pracy i znojowi. Skojarzyłem ten obraz z pomnikiem Bolesława Chrobrego, stojącym opodal katedry gnieźnieńskiej, przypomniałem sobie piękne typy chłopów wielkopolskich, tak rdzennie polskie, tak szlachetne w swej sarmackości. Rasa od wieków tkwiąca w roli, zżyta z naturą, z twardą pracą.

Zjechaliśmy na „latówkę": Maciej dbały o konie, szanował ich nogi. I mnie się lżej zrobiło na duszy: jakoś raźniej się jedzie miękką polną drogą, jak gościńcem. — Niech mówią co chcą automobiliści, wolę osobiście zwykłą polską drogę, o ile jest tylko w dobrym stanie. Takie drogi nazywali Niemcy podczas wojny światowej „Paniestrassen", niewiadomo zresztą dlaczego. Tłumaczyli sobie słowo „drogi", słyszane w zwrotach, jak „panie drogi" na „Strasse" i stąd stworzyli, z właściwą sobie „wnikliwością" językową nowy termin. Zresztą parą do tego słowa były „Paniepferde", oznaczające huculskie kucyki.



Wysokie, szumiące drzewa rzucały na pole bledniejący z chwili na chwilę cień...
Fot.: Dr Wacław Szperber.

Nad polami lekko unosiły się opary jesiennego popołudnia. Wspaniałą perspektywę znaczyły wysokie szumiące topole wielkopolskie. Topole nadwiślańskie! Spotkać je można wszędzie w Polsce: szumią wędrowcowi, znaczą drogę nocą, są drogowskazem.

Z pola wzleciała gromada skrzeczących czarnych wron.

— Dużo latoś tych „glapów"! — zaobserwował Maciej, pociągając nosem. — Ino psują zasiewy!

Jak każdy chłop pomstował na „nicpote" ptaki, które utrudniają rolnikowi jego pracę.

— A jakie były plony tego roku? — pytam.

— Ano dobre, żyto sypało dobrze! Ino kilka koni okulało, „gady" nie chciały się chować i był pomór u świń. A szkoda, bo były „świntuchy" rasowe, jakisie angielskie, to je nawet „fotografista" z Gniezna „odebrał", bo miały iść na wystawę!

Wiem, że w K. chów świń był oczkiem w głowie pana domu i sperandą na większy dochód, toteż współczuję z klęską, jaka wkradła się w „patyki" świńskie.

Coraz hardziej zapadał zmrok: na tle nieba znaczyły się czarne sylwetki drzew i krzyżów.

Już dojeżdżamy: jeszcze jeden zakręt i wnet wjedziemy w aleję kasztanową, prowadzącą do dworu. Z podwórza dolatuje charakterystyczny hałas, składający się z krzyków fornali, brzęku jakowegoś żelaziwa, raz po raz słychać basowy ryk krów, czekających na paszę, lub raźne rżenie koni.

Koła bryczki wyżynają koleinę w piasku. Jeszcze objeżdżamy klomb i stoimy przed dworem. Rozlega się cała kapela naszczekiwań psów różnych gatunków, chowanych pieczołowicie przez panią domu i wałęsających się po ogrodzie i podwórzu.

Za chwilę siedzimy przy dymiącej herbacie, zajadając z apetytem różne wiejskie przysmaki. Rozmawiamy. Polityka, podatki, kłopoty gospodarskie, ceny żyta... wszystko co boli i wszystko co cieszy. Zajęcia rolnika kończą się z chwilą, kiedy inwentarz najedzony i napojony poszedł na spoczynek, kiedy wozownie zamknięte i folwark pustoszeje. I wtedy przechodzi się na szersze tematy....

W moim pokoju otwieram okno: nad parkiem unosi się biały całun mgły, jakby welon ślubny. Z pól idzie silna woń ziemi. Czasem odezwie się jakiś głos zdaleka. Mimowoli zastanawiam się nad polskim dworem, nad temi zmianami, jakie przechodzi w ostatnich czasach, nad tem wszystkiem, co stanowi jego zagadnienia życia lub śmierci. Lecz ogarnia mnie chłód: zamykam okno i idę na spoczynek. Ciekawa pożyczona od pana domu książka nęci moją wyobraźnię. Przy stoliku oczywiście lampa elektryczna, jak w prawie każdym wielkopolskim dworze.

Wśród ciszy tak intensywnej, że staje się aż męcząca, zagłębiam wzrok w kartach książki, lecz myśl moja jeszcze ciągle błądzi po otaczających dom dalekich polach.

Jan Maleszewski.



Powoli zapadał jesienny mrok...



Na tle nieba znaczyły się czarne sylwetki drzew i krzyżów...

Dokończenie ze str. 10-ej.

Jerzy wynajął garsonierę, w której się spotykali. Było to dość niebezpieczne, ale przez dwa tygodnie mieli wrażenie, że Brandt niczego nie zauważył. Ria przebywała zawsze za kulisami, gdy Jerzy śpiewał. Występował w stroju apasza, śpiewał francuskie piosenki, rozmawiał z publicznością zabawnie po węgiersku, tańczył, grał trochę na fortepianie i opowiadał pikantne historyjki. Podczas gdy kurtyna opadała wśród oklasków pytał zdyszany Rii: „No co dobrze było? Podobało ci się?"

Ria czuła się lekka jak czerwony balonik, zdawało się, że uleci na skrzydłach miłości. Przed przerwą wracała na koniuszkach palców do ich garderoby, gdzie jej mąż przygotowywał się do występu.

Gdy przebywała na scenie, widziała siedzącego w loży dla artystów Jerzego, który niepokoił się o nią. Ale Ria zapomniała teraz już zupełnie o niebezpieczeństwie, myślała o Jerzym, potajemnych wycieczkach z nim w nocy, gdy Brandt spał.

Dopiero w trzecim tygodniu, drżąc na myśl o rozstaniu, stali się nieostrożni. Pewnego ranka Brandt wszedł do sypialni żony i ucałował jej włosy.

— To ciekawe... Czuć cię papierosem... — szepnął.

— Paliłam pokryjomu — powiedziała, zaciskając usta.

Wieczór posłała Jerzemu do garderoby bilecik: „Nie przychodź dziś, niebezpieczeństwo".

Po przedstawieniu Brandt powiedział, że chce pójść do kawiarni. To życzenie było tak niezwykłe jak pocałunek rano. Ria miała nadzieję, że nie spotkają się w kawiarni z Jerzym. Ale młodzieniec był tam i Brandt usiadł przy jego stoliku. Po krótkiej rozmowie zapytał nagle:

— Ma pan papierosa?

Jerzy wyjął papierośnicę. Ria drżała ze strachu. Jej mąż nie palił nigdy...

— Perfumowany? — zauważył, puszczając powoli dym.

— To angielskie papierosy — odparł Jerzy.

— Ach tak... — rzekł Brandt.

W dziesięć minut później Brandt wracał z żoną taksówką do domu. Nie mówił słowa.

— Wie czy nie wie? — zastanawiała się Ria.

* * *

Jerzy niecierpliwie biegał po garsonjerze, czekając na Rię. O piątej zadzwonił do hotelu, w którym mieszkała jego kochanka. „Pani Brandt nie może podejść do telefonu" — odpowiedziano mu. Jerzy wybrał się na przechadzkę nad brzegami Dunaju. Jego niepokój zwiększał się z każdą chwilą. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy z tego, że kocha naprawdę Rię. „Trzeba być głupcem, ażeby pozwolić żonie uczestniczyć w tak niebezpiecznym numerze" — myślał ze złością. Udał się przed hotel i czatował na Rię. Na godzinę przed przedstawieniem wyszła razem z mężem. Wsiedli do taksówki, a Jerzy pojechał za nimi.

Chcąc koniecznie rozmówić się z Rią, Jerzy zamierzał pójść do jej garderoby, lecz w drodze spotkał Chińczyka Li, który podał mu bilecik: „Brandt wie o wszystkiem. Chce mnie zabić" — przeczytał pieśniarz.

W tejże chwili dano mu znać, że ma wyjść na scenę. Machinalnie usłuchał rozkazu. Rii nie było za kulisami podczas jego występu. Sam nie wiedział, jak się to stało, że zdołał wykonać swój numer.

— Należałoby zawiadomić policję — mówił sobie. — Trzebaby uprzedzić dyrektora, odwołać numer...

Bezwiednie kłaniał się, dziękując za oklaski. Nie zmywszy szminki, w apaszowskim kostjumie pobiegł do garderoby Brandt'a i wszedł bez pukania.



Brandt grał z sobą w warcaby.

— Och! — zawołał na widok Jerzego.

Atmosfera tchnęła takim spokojem, że nagle bilet pani Rii wydał się Jerzemu czemś nieprawdopodobnem i bezsensownem.

— Chciał mi pan coś powiedzieć? — zapytał Brandt, wstając aby włożyć frak.

— Lękam się o Rię — wyjąkał młodzieniec.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony — odparł, uśmiechając się dziwnie Brandt.

Wydawał się stary i blady pomimo szminki.

— Nie pozwolę jej wyjść na scenę! — zawołał Jerzy, podchodząc do Brandta.

— Nie przeszkodzi mi pan w niczem — odparł Brandt.

Pochwycił nagle jakiś rewolwer.

— Zapewne przyszedł mi pan powiedzieć, że kocha pan moją żonę? — ciągnął dalej.

— Nie dopuszczę do tego, by pan uczynił jej coś złego, słyszy pan! — krzyczał Jerzy.

— Strzelam dobrze, gdy jestem spokojny — powiedział po chwili zastanowienia Brandt. — Dotychczas Rii nie groziło niebezpieczeństwo, ale co dziś będzie, to nie wiem.

Wyciągnął przed siebie ręce i Jerzy zobaczył, że drżą, trzęsą się jak miotane burzą. Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Rią. Nie przypuszczał wówczas, że ta przygoda będzie miała taki wpływ na jego życie.

— Nie wiedziałem, że będzie to gra o śmierć i życie — rzekł półgłosem.

— A gdyby pan był wiedział, nie byłby pan się do niej zbliżał, tak? — zapytał groźnie Brandt.

— Nie wiem... może...

— Może! Błazen! Rozbija pan małżeństwo, kradnie pan kobietę, której pan nawet nie kocha. Czy pan wogóle wie, co to jest miłość? I boi się pan rewolweru!

Jerzy usiłował się opanować, by nie zaszkodzić Rii.

— Byłoby z mej strony nietaktem, gdybym pana zapewniał, że kocham żonę pana. Nie pozwolę jednak, aby jej się coś stało i zwrócę się natychmiast do policji.

Gdy zmierzał ku drzwiom, przeszedł go dreszcz na myśl, że Brandt może doń strzelić.

— Proszę zaczekać! — dał się słyszeć głos Brandta.

Jerzy zatrzymał się i odwrócił.

— Istnieje lepszy sposób zapewnienia bezpieczeństwa Rii — rzekł strzelec.

Jerzy czekał.

— Jeśli pan da mi zadośćuczynienie, to... postaram się nie postrzelić Rii...

— Jakie zadośćuczynienie? — szepnął przerażony Jerzy.

— Pojedynek...

— Numer siódmy na scenę! — zawołał ktoś.

— Pojedynek z mistrzem w strzelaniu! Ależ to kpiny... — szepnął Jerzy.

Brandt nie odzywał się. Milczenie stawało się coraz bardziej przykre.

— Łajdacka propozycja... — zaczął ochrypłym głosem Jerzy.

Brandt wzruszył ramionami.

— Chciałem tylko wiedzieć, czy żona zdradziła mnie z tchórzem — rzekł.

— Więc dobrze — powiedział Jerzy. — Gdzie i kiedy?

— Po moim numerze, w podwórzu „Orfeum". Świadków nie potrzebujemy. Pan odda pierwszy strzał. Ma pan broń?

— Nie — odparł Jerzy, który miał wrażenie, że budzi się z omdlenia.

— Ja to załatwię — oświadczył Brandt. — A teraz proszę odejść. Muszę mieć spokój przed występem.

Jerzy napisał kilka listów. Najpierw parę słów do Rii, które przesłał jej przez Chińczyka Li: „Nie obawiaj się. Nic ci się nie stanie", a potem do swej matki i do przyjaciela. Orkiestra grała już tango. Brandt i Ria wyszli już na scenę. Jerzy uspokoił się. Kochał Rię i zapłaci za tę miłość. — Jeśli wyceluje w serce, to nie będę nawet nic czuł — myślał. — Jest tyle mniej miłych sposobów zejścia z tego świata...

* * *

Podwórze „Orfeum" otaczają wysokie mury. W świetle łukowych lamp można przeczytać na tablicy napis: „Wstęp obcym wzbroniony".

— Jest dosyć jasno — mówi Brandt, rysując kredą miejsce, w którem ma stanąć Jerzy.

Niebo wydaje się strasznie dalekie, jak wieko z pudełka.

— Słowo honoru, że będzie pan dobry dla Rii? — mówi Jerzy po otrzymaniu rewolweru od Brandta.

— Jesteście jak marjonetki...

I Brandt zajmuje swe oznaczone kredą stanowisko.

Jerzy patrzy na rewolwer.

Możnaby przypuszczać, że to próba, a nie pojedynek.

— Trzeba celować nieco wyżej — poucza Brandt, widząc jak niezręcznie Jerzy trzyma broń.

Jerzy strzela. Co to? Brandt stoi tam naprzeciwko i śmieje się. A potem strzela w powietrze. Jerzy czeka na coś, co nie przychodzi. A potem słyszy słowa Brandt'a:

— Czy Ria istotnie warta tego, aby dla niej umrzeć?

— Tak, tak... — krzyczy Jerzy.

Ależ on żyje! I Ria żyje także!

— Proszę iść do niej i uspokoić ją — mówi Brandt.

* * *

Na scenie występowali clowni; słychać było dźwięki olbrzymiego saksofonu. Jerzy dążąc do garderoby Rii, przyspieszył kroku.

Nikt nie słyszał wystrzału, który położył kres życiu Brandt'a.

Znaleziono go dopiero po przedstawieniu, gdy wyprowadzono na podwórze foki. Leżał pod murem, obrośniętym bluszczem i wydawał się szczęśliwy.

K O N I E C.





Szachownica pól i...

...mrowisko domów.



Gdybym był bogaty!

RYSUNKI: CHARLIE — KRAKÓW.



...nie miałbym ja i moi najbliżsi zmartwień, które przynosi brak pieniędzy.

Jest to w naszych stosunkach przedewszystkiem temat marzeń, a rzadko kiedy konkretnych rozważań. Niech nas to jednak nie zraża, kwestja bowiem może być interesująca!

Marzenia, marzyciel — to określenia, które w tak bardzo realnych czasach, jak obecne, zupełnie niesłusznie nabrały zabarwienia jakby ujemnego. Pamiętajmy jednak, że rzeczy wielkie i piękne powstają jako ziszczenie marzenia takiego człowieka, który ośmielił się daleko i wysoko sięgnąć swem marzeniem, a co więcej dążyć do jego urzeczywistnienia, nieraz wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Nawet zaś w wypadkach, gdzie marzenie nie stało się źródłem wielkich rezultatów, to zawsze zdolność do niego wynosi jednostkę ludzką ponad poziom bydlęcia lub robota-homunculusa, pozwala mu na chwilę zapominać o wszystkiem, co go przygniata ku ziemi i obniża polot jego myśli.

Oczywiście poziom duchowy człowieka wyznacza poziom, na którym unosi się jego marzenie. Powiedziałem — poziom, ale nie temat. Każdy temat nadaje się do marzeń. Dlatego też sądzę, że marzenie na temat własnego bogactwa bynajmniej nie dyskwalifikuje człowieka, który go snuje, a istotnym tu będzie moment inny: czy mianowicie celem marzeń będzie sam tylko fakt posiadania bogactwa, tak, aby móc radować się i rozkoszować tym stanem, pozwalającym używać życia do syta (a nieraz tylko, aby cieszyć się osiągniętemi cyframi), czy też marzenie będzie się koncentrować na jakichś fantastycznie pięknych lub wzniosłych osiągnięciach, dla których urzeczywistnienia potrzebneby nam były ogromne środki finansowe.

Oczywiście rozgraniczenie takie nie może być w marzeniu ścisłe i oba momenty będą się zawsze wzajemnie mieszać i przenikać, chodzi tylko o to, który z nich będzie dominantą, a który tylko domieszką.

Można to także określić inaczej: czy marząc o bogactwie ma się na myśli tylko materjalistyczne dogodzenie sobie, czy też osiągnięcie możności stwarzania koło siebie piękna życia, ku swojej i innych radości. Dlatego też sądzę, że chyba najbardziej interesującemi marzeniami o majątku będą marzenia artystów jak i też ludzi, którzy choć zawodowo przynależą gdzieindziej, ale dążeniem swego ducha i swych zamiłowań są właściwie braćmi artystów.

Dlaczego takie marzenia są interesujące i mogą mieć swoją wartość? Przypuśćmy, że ktoś czuje się kimś w rodzaju króla Ludwika Bawarskiego, że w marzeniu swem wydaje miljony na urządzanie wspaniałych zamków, pałaców i ogrodów, że przeżywa fascynujące wizje bogatych wnętrz, zawieszonych najlepszemi obrazami i makatami, zastawionych pięknemi meblami, pełnych rzadkich okazów srebra i cennej porcelany. Z konieczności w te wymarzone ramy wprowadza odpowiednie do nich życie. A więc urządza przyjęcia, uświetnione koncertami i iluminacjami, zaprasza i zatrudnia artystów. Kwiat towarzystwa przewija się przez te wnętrza i ogrody i napełnia je życiem. Kobiety są piękne i ślicznie ubrane, mężczyźni interesujący i wytworni. Obyczaj, strój, rozmowa i kuchnia dostrojone do ram. No i cóż komu z tych iluzyj? — może ktoś zapytać. A przecież nie ulega chyba wątpliwości, że człowiek, którego zamiłowania tak się objawiają wówczas, gdy marzy, w życiu realnem, w dostępnej dla niego skali będzie zawsze usiłował dać im wyraz w podniesieniu estetyki swego otoczenia. Z pewnością niektóre z rozwiązań przez niego wymyślonych, będzie mógł po zredukowaniu ich skali zastosować w życiu czy to w urządzeniu mieszkania, czy ogrodu, czy też w inny sposób.



Jeśli potrafi przytem oddziaływać na innych — podnosi się kultura. Niech zaś się zdarzy, że jakiś szczęśliwy traf pozwoli mu istotnie dysponować wielkiemi środkami — to z tych marzeń mogą powstać pomniki kultury, otaczane pietyzmem przez całe społeczeństwo, nawet po setkach lat.

Nie zawsze marzenia na temat własnego bogactwa obracają się w sferze najwyższych możliwości finansowych. Ludzie zależnie od swego położenia bardzo zróżniczkowane mają pojęcia o bogactwie, i albo dobrowolnie, albo poprostu z braku dostatecznej wyobraźni, ograniczają swe marzenia do poziomu nieraz dziwnie skromnego. Poprostu śmieszne jest i przykre zarazem, gdy pomyślę, że napewno jest szereg ludzi, którzy widząc mnie w tej czy innej okoliczności życiowej występującego możliwie nie obdartym a czasem nawet w olśniewającej roli dostojnego pasażera taksówki, patrzą na mnie z zazdrością jak na bogacza. Tak samo za bogacza będzie uważał nie posiadający majątku i żyjący z pensji inteligent każdego „kamienicznika" lub „obszarnika", których finanse mogą być bardzo kruche, jak to zresztą wiemy, a poziom życia nie różniący się wiele od poziomu tegoż właśnie przeciętnego inteligenta. Będzie mu jednak zazdrościł, a majątek jego uważał za temat swych marzeń.

Tymczasem tenże „bogacz", zasypiając po znojnym dniu, w którym korowodził się z egzekutorem podatkowym i z własną żoną, która nie miała na pończochy i kapelusz, marzy jakby to było cudnie, gdyby był bogaty. Oczywiście czuje się biednym, bo mimo tego, że jest „kapitalistą — krwiopijcą", odczuwa cały szereg braków i musi liczyć się nawet z drobnemi wydatkami.

Nasi karmazyni, a nawet magnaci, siedzący na tysiącach morgów, mają też swoje wielkie kłopoty i czują się biedni w porównaniu z bogatymi ludźmi z Zachodu lub

twórcy — Łukiem Cezara), poszerzono i powiększono, przeprowadzając tędy, bez szpecenia starych barokowych budowli dwa tory tramwajowe, jezdnię i chodniki. Łuk Cezara w Toruniu, i przylegająca doń z jednej strony stara uliczka Różana, z drugiej zaś obszerny, z rozmachem rozplanowany, nowoczesny plac Bankowy — są doskonałym przykładem właściwego połączenia elementów średniowiecznych miasta z nowemi założeniami urbanistycznemi.

Bydgoskie Przedmieście, pomyślane przed kilkudziesięciu laty, jako istotne — „przedmieście" miasta o charakterze willowym, przeplanowano dzisiaj na centralną dzielnicę mieszkalną miasta.

Tego rodzaju typowe „mieszkalne" dzielnice nowoczesnego miasta stanowią zmorę współczesnych architektów. Względy gospodarcze zmuszają bowiem do budowania wielkich bloków mieszkalnych, co znakomicie upraszcza kalkulację finansową budowli. Wielkie, blokowe kamienice są jednak bardzo nie... malownicze i przytłaczają swoim ciężarem. Na Bydgoskiem Przedmieściu wybrnięto z tej trudności w ten sposób, iż — przyjmując wprawdzie zasadę budynków zwartych i wielkich bloków, zdecydowano się jednocześnie na poświęcenie możliwego maksimum miejsca na zieleńce i to zieleńce obsadzone wysokim drzewostanem.

Zieleń z wysokopiennym drzewostanem stanowić będzie jeden z naczelnych elementów Torunia. Ten szczegół rozbudowy miasta potraktowano tu z wielką pieczołowitością i nakreślono mu następujący plan rozwoju:

Całe stare miasto średniowieczne postanowiono otoczyć z trzech stron szerokim pasem zieleni i parków, podobnie jak planty krakowskie opasują miasto, z tą różnicą, że „planty" toruńskie będą kilkakroć szersze od krakowskich. Zamknięcie pierścienia stanowić będzie Wisła, z szerokim bulwarem nadbrzeżnym, częściowo już wybudowanym. W ten sposób zapewni się śródmieściu miasta, o największem skupieniu mieszkańców, trwały rezerwat zieleni, nawet na wypadek daleko idącej w przyszłości rozbudowy miasta. Równocześnie zaś zamknie się średniowieczną część Torunia naturalną ramą, podkreślającą dobitnie piękno starego miasta i strzegą tą jego tradycji.

Na prawo: Brama Bydgoska, czyli t. zw. „Łuk Cezara" należy do najciekawszych zabytków Torunia.



Plan Torunia, uwidaczniający rozwój miasta w ostatnich 20-tu latach. Linje czarne oznaczają ulice powstałe od r. 1918–1938, linje przerywane ulice zaprojektowane, liczby 1. — Toruń średniowieczny, 2. — Bydgoskie przedmieście, jedną z nowszych dzielnic miasta, 3. 4. 5. — główne ośrodki rozbudowy miasta.



Dopiero wokół „plant" toruńskich rozsiądzie się właściwe nowe miasto. Grupować się ono będzie w trzech odrębnych dzielnicach — mieszkalno-willowej, mieszkalnej robotniczo-handlowej i handlowo-przemysłowej. Każda z tych dzielnic odgraniczona będzie również pasami zieleni.

Całe nowe miasto otoczy drugi wielki pierścień „plant" zewnętrznych, pomyślanych już nie jako skwery dekoracyjne, lecz zagajniki, przeznaczone na dłuższe spacery podmiejskie.

Odrębnym szczegółem, który niezależnie od rozrostu ilości mieszkańców miasta wpłynie w najbliższych dziesiątkach lat na rozbudowę miasta, jest kwestja żeglugi na Wiśle.

Toruń był przez długie lata — i jest jeszcze obecnie — typowem miastem „urzędniczem". Niema tu przemysłu i wielkiego handlu. W obecnych jednak warunkach polityczno-geograficznych, Toruń wraca szybkimi krokami do swego dawnego charakteru jako port dla żeglugi śródlądowej. Pamiętajmy, że chociaż nowoczesność dąży usilnie do rozbudowy sieci kolejowych i autobusowych, to jednak droga wodna — zupełnie równolegle — nabiera potężnego znaczenia dla gospodarstwa kraju. Toruń, jako naturalna brama, otwierająca dla Polski przejście do kraju, na którego drugim końcu znajduje się Gdynia, ma wielkie dane do zajęcia czołowego stanowiska w żegludze wiślanej. Już dziś ruch rzeczny w Toruniu wyraża się imponującą cyfrą ponad 5 tysięcy statków i ok. 7 tysięcy berlinek rocznie. Budzi to potrzebę budowy nowych nadbrzeży, portu rzecznego handlowego i zimowego.

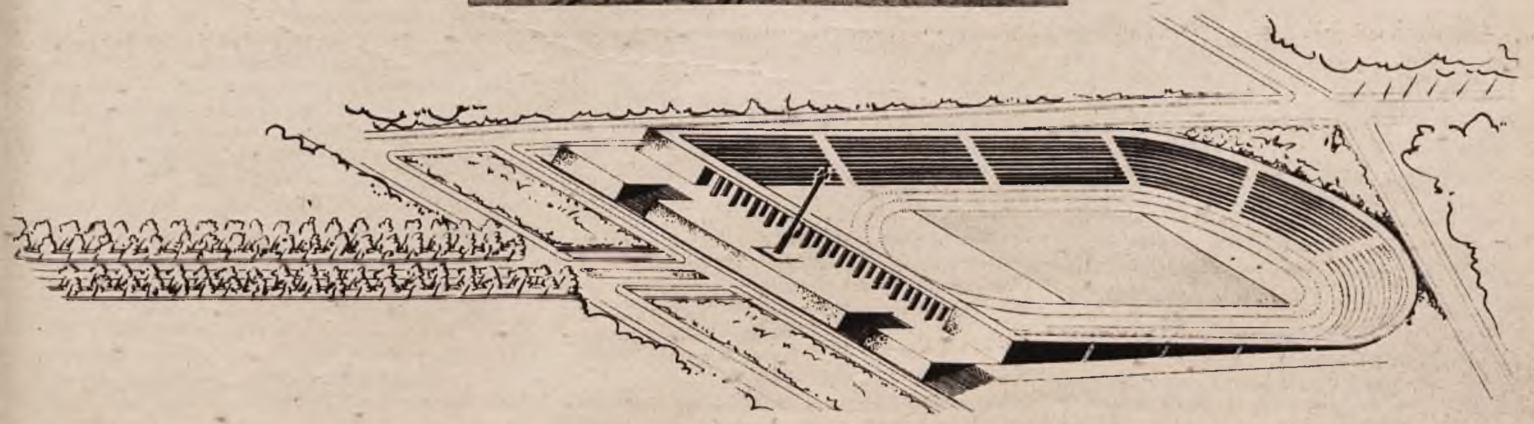
Kiedyś — za lat sto czy więcej, minione wieki spojrzą na majestatycznie rozsiadłe na wzgórzach wiślanych miasto — Toruń.

Zastaną je takiem, jakiem jest od początku swego istnienia: miastem wspomnień, żywą kroniką wielkich dni, dawnej Polski i Polski Odrodzonej.

Miastem, skąd żaglowce toruńskich mieszczan płynęły przez Wisłę do Bałtyku a później — nowoczesne motorowce przez Gdynię, w nieprzejrzaną dal świata...

Mgr. Roman Burzyński.

Poniżej: Projekt nowego stadjonu w Toruniu, który ma stanowić zakończenie ul. Sienkiewicza.



...się ku mnie Hjacynta powiedział:

— Tęsknię za nim... nikt nie potrafi mi go zastąpić. Odnajdź mnie — może ty będziesz godny jego wspomnień...

— Bywasz tu często — odpowiedziałem — ale ukrywasz się za woalem. Nie widzę twej twarzy. Jakże mam cię szukać?

— Jestem zwykłą kobietą. Spotykasz często mnie i moje siostry. Pochodzę z nizin. Mam dwadzieścia lat i jestem praczką...

I Hjacenta uchyliła na chwilę zasłony. — W jej oczach dojrzałem cienie nocy, biedę i błyski wyzwania. Kobieta ta ubrana była w desous, pod którem rysował się biust.

Wtedy namalowałem portret Hjacenty.

Róża była smutna zawsze, jak ktoś. kto znajdując się w połowie drogi postradał cel. Jej wąskie, pąsowe wargi zacięły się dawno w kuszącą pauzę. Słowa, które kiedyś skreśliła do mego znajomego wyrażały żal i nadzieję. Róża odeszła od domu i dzieci, by zbliżyć się do ukochanego mężczyzny. Pozostała opuszczona jak muszla na wybrzeżu, której nie zabrała powrotna fala. Kiedy ją malowałem, powiedziała z żałosną kokieterją:

— Spójrz, jakie interesujące mam dziś oczy! To dlatego, że płakałam... Ah, żeby mężczyźni wiedzieli, że nawet dręcząc wyświadczają kobietom przysługę...

Najmilsza była Liljana. Kiedyś musiała dostrzec w mych oczach podejrzenie, bo powiedziała swym dźwięcznym głosem:

— Niech pan nie myśli, że zdarzyło mi się to — co tej panience w wierszu Kaestnera. Nie chodziłam na stację... Mieszkam u rodziców. Mam masę roboty i pewno zdam maturę...

— Czy kochałaś go, Liljano?

— Pewno... Wtedy jeszcze nie potrafiłam tego określić. Ale on był taki przystojny i grzeczny. Chodziliśmy na lody. Lubiałam go bardziej, niż mego kuzyna. Kiedy to się stało... i później... wydawało mi się, że bez niego umrę. Płakałam nocami.

— On odszedł, Liljano, a ty się uśmiechasz.

— Może przyjdzie jeszcze... zresztą czy ja wiem... Dzięki niemu jestem kobietą i inaczej patrzę dziś na świat.

Trzy portrety — trzech kobiet zostały ukończone. Być może, że kiedyś okaże się, iż nie są one zbyt wierne. Jednak małe niedokładności wyniknąć musiały stąd, że treść listów nie powiedziała mi może o nich wszystkiego, a i zapachy perfum w krótkim stosunkowo czasie zatarły się, tworząc coraz mniej wyraźne sylwetki tych dziwnych postaci, kóre znikły wkrótce zupełnie. Pozostały mi tylko szkice, pamiątki tych astralnych cieni, na które złożyły się perfumy wylane z flakonów i zdania skreślone trzema różnymi charakterami pisma.

* * *

Dziś odnoszę wrażenie, że kobiety, które namalowałem — poznałem rzeczywiście, i że zostały mi przedstawione przez mego znajomego, gdy ten odbywał już wędrówkę w zaświaty.

Czwarta postać, autorka czwartego listu pozostała dla mnie zagadką. Szybko skreślone zdania, objektywnie charakteryzujące Neumana i chwile, które z nim ta kobieta spędziła nie mogły dać skondensowanego obrazu osoby. Jedno tylko zdanie w liście tym odnosiło się do autorki. Brzmiało ono: „Kiedy powiedziałeś mi, że mam piękne wargi, pełne i pulsujące tętnem mego serca — doktorowa popatrzyła na...". List podpisany był literami M. M.

W lecie znalazłem się na słonecznej plaży morskiej. Leżałem blisko morza. Pozwalałem falom dotykać mych stóp, przesypywałem piasek przez dłonie. Szukałem muszel.

Któregoś dnia, gdy tak próżnowałem, ktoś przebiegł blisko mnie, a piasek wyrzucony nogami w górę — zasypał mi oczy. Syknąłem z bólu. Podniosłem się i z zamkniętemi oczami szukałem morza, by przemyć powieki. Wtedy uczułem na ramionach

...bardzo przepraszam — usłyszałem głos kobiecy — że sprawiłam panu ból. Teraz zaprowadzę pana ku wodzie.

Spłukałem piasek i spojrzałem na nieznajomą. Ogarnął mnie niepokój. Ująłem ręce dziewczyny. Wzrok mój padł na linje dłoni. Układały się w wyraźne, podwójne M. Wykrzyknąłem:

— Przecież pani znała Neumana!

Dziewczyna usiłowała wyrwać ręce z mych dłoni. Mówiłem dalej:

— Napisała pani list do niego. Niech pani nie zaprzecza. To było zeszłego roku w czerwcu...

Paniczny lęk odmalował się w jej pięknych oczach.

— Skąd pan to wie — wyszeptała. Przecież to było jedno spotkanie i jeden list...

Szarpnęła się gwałtownie i uciekła. Więcej nie widywałem jej już na plaży.

Dziś mija rok od czasu wizyty stróżowej Józefowej. Zbliża się dziesiąta wieczór. — Wierzę, że gdy wybije — przyjdzie do pracowni czwarta postać z korespondencji mego znajomego. Kim jest? Nie wiem. Ale wierzę, że w mej dziwnej przygodzie — ona jedna jest postacią realną, która wejdzie w me życie.

Dokończenie ze str. 6-ej.

Istotnie niedźwiedź piastun, nieżywy. Na grzbiecie ma duży płat oddartej skóry, a pod szyją dwie rany. Czy niedźwiedzica skarciła go zbyt silnie, czy wilki dobrały się do zbyt oddalonego od matki piastuna...? Podnieśliśmy go, oparli o pień jodły i sfotografowali.

Osądźcie sami mili Czytelnicy.

Po wydaniu zarządzenia co do odstawienia niedźwiadka do Groedlowa wracamy ku lasom. Na drodze stwierdza mój towarzysz, że krajem połoniny przeszedł niedawno silny byk, „napisał" bowiem na młace silny odcisk racicy ze zboczeniem lewego odcisku od środkowej linji tropu. Trzeba się dobrze znać na tem, tak, jak mój towarzysz. Czy jest kto, coby w takim wypadku nie uwierzył i nie nabrał nadziei? Mówią, że „nadzieja, to matka głupich": niechże sobie mówią, ale niech jaki myśliwy powie, czy bez takiej nadziei zaryzykowałby podchód w górach!

Weszliśmy na skraj lasu. Mamy przed sobą dużą przestrzeń zrębu. Towarzysz mój zawabił... na szkiełku od lampy naftowej! Po chwili usłyszeliśmy odpowiedź z przeciwległego zbocza. Pójdziemy tam, choć słońce już się przesunęło dobrze na drugą stronę i barwi korony buków i jaworów, żółto, czerwono, złotem, orgją kolorów, zmieszanych z ciemną zielenią drzew szpilkowych. Stanęliśmy i wabimy znowu. Ryk byka słychać teraz bliżej. Serce zaczyna bić, czuję je w gardle. Staję znieruchomiały w pozycji, Boże się pożal! Jedną nogą w próchnie starej jodły, drugą w powietrzu, opartą o jakiś twardy przedmiot, sterczący do góry a coś kole mnie w plecy...

Gdyby mnie teraz zobaczyli koledzy redakcyjni, stałbym się trwałym objektem karykaturzystów... Jednak stoję nieruchomo, tylko ręce trzymające karabin drżą. Święty Hubercie dopomóż! Daj opanować to drżenie! Po chwili posuwam się ostrożnie dalej, badam przed każdym krokiem nogą, by coś pod stopą nie trzasnęło... przede mną nieprzejrzysty gąszcz, ciemno zielona ściana. Za nią jest byk! Myśliwy, który słyszy przed sobą odyńca czy jelenia i z palcem na cynglu czeka, kiedy mu się zwierz odsłoni, zrozumie, co się ze mną działo. Teraz słyszę stąpanie...... jeszcze chwila, a wyjdzie.

I wyszedł, ale to nie był ten kapitalny byk, o którym marzyłem, lecz słaby ósmak. Niechże idzie w spokoju!

„Nie poszancowało".

Słońce już zachodziło, trzeba wracać bez trofeów. Mimo to chętnie tu powrócę do tego cudnego szmatu ziemi polskiej.

Kazimierz Szczepański.

Dokończenie ze str. 15-tej.

w przemyśle lub handlu. Mój Boże, gdybym tak miał 5.000 złotych miesięcznie, tak jak

...się przedemną co się dzieje z jego pensją. Prawie cała idzie na niezwykle kosztowne utrzymanie domu na stopie, która zupełnie osobiście mu nie jest potrzebna i z której zresztą sam nie ma czasu korzystać. Kosztuje obszerne mieszkanie, służba liczna i droga, przyjęcia reprezentacyjne, (goście objadają go setnie), żona też musi się ubrać odpowiednio i t. d. On sam siedzi w biurze do 7-mej wieczorem, albo i dłużej, zjada tylko jeden obiad dziennie i nie wdziewa dwóch ubrań naraz na siebie. Jedyna przyjemność dla niego to to, że sobie od czasu do czasu pojedzie na polowanie. Twierdził, że gdy miał 800 zł pensji jako kawaler i zajmował znacznie mniejsze stanowisko, to osobiste jego potrzeby zupełnie nie gorzej były pokryte, niż dzisiaj, nie miał tylko całego ogromnego kramu, który pochłania różnicę w jego dochodach. Coś na tem chyba jest prawdy.

Wogóle używanie pieniędzy nie jest takie łatwe, jak się to zdaje tym, którzy ich namiętnie pragną. Pouczające są badania prowadzone nad losami wygranych loteryjnych. Otóż stwierdzić należy, że naogół ludzie okazują się zupełnie nieprzygotowani do przyjęcia rozsądnie i godnie szczęśliwego trafu, jaki ich spotyka. Szumowiny miejskie z zasady przepijają w ciągu 2—3 nocy wszystko w gronie odpowiedniej kompanji, przyczem żyją dalej w poniżeniu moralnem i nędzy. Padnięcie wygranej powiedzmy 2.000 zł na przedmieściu wielkiego miasta, to prawie zawsze temat dla kroniki policyjnej i zatrudnienie dla jej organów. Rzadko kiedy powstaje z tego jakiś nowy warsztat pracy, czy sklepik dający podstawy dalszego lepszego bytu. Także u wyżej moralnie stojących osobników, zawsze to będzie okazja do biby, oraz całego szeregu nonsensownych wydatków, które nigdy by nie miały miejsca ze strony właściciela takiego właśnie majątku jak wysoką jest wygrana, gdyby nie to, że stał się nim nagle i nieoczekiwanie.

Ludzie znowu na pewnym stopniu kultury przy nagłych wzbogaceniach natrafiają na inne trudności i niebezpieczeństwa. Zwykle dotychczasowy tryb ich życia nie wykształcił w nich zdolności handlowych i zmysłu przedsiębiorczości. Pieniądz tymczasem dopomina się o należytą lokatę. Zjawiają się propozycje z boku, lub pozornie genjalne pomysły przy gwałtownym przypływie przedsiębiorczości, a braku doświadczenia. Ileż przykrych zawodów, strat i wykolejeń w takich okolicznościach doznali wybrańcy losu!

Podobne spostrzeżenia robione wśród różnych klas społecznych dały w rezultacie syntetyczne powiedzenie, nieraz używane: „Łatwo przyszło — łatwo poszło".

Jeżeli chodzi wogóle o znaczenie marzeń o majątku u poszczególnych jednostek, to nasuwa mi się następujące porównanie. Wiadomo, że alkohol ma między innemi tę właściwość, że rozluźnia u ludzi będących pod jego wpływem, różne hamulce nakładane na ich naturę i instynkty od początku ich życia przez wychowanie, strach przed odpowiedzialnością, lub wzgląd na własny interes. Wyzwalają się wówczas instynkty i odruchy, które nam ukazują danego człowieka powiedziałbym — we właściwem świetle, objawiając co naprawdę w nim drzemie.

Pieniądz, a raczej liczenie się z nim stanowi dla człowieka na każdym kroku cały szereg przeszkód i hamulców. Wśród swobodnego i niczem nie skrępowanego marzenia, coby kto począł, gdyby był bardzo bogaty, puszczają te hamulce, przeszkody materjalne przestają istnieć i wyzwala się prawdziwe oblicze duchowe człowieka. Dlatego zastanawianie się nad swemi marzeniami o własnem bogactwie, może być bardzo pouczające, jeśli chodzi o poznanie samego siebie.

Almaviva.



KOBIETA Z PIŁKĄ

★

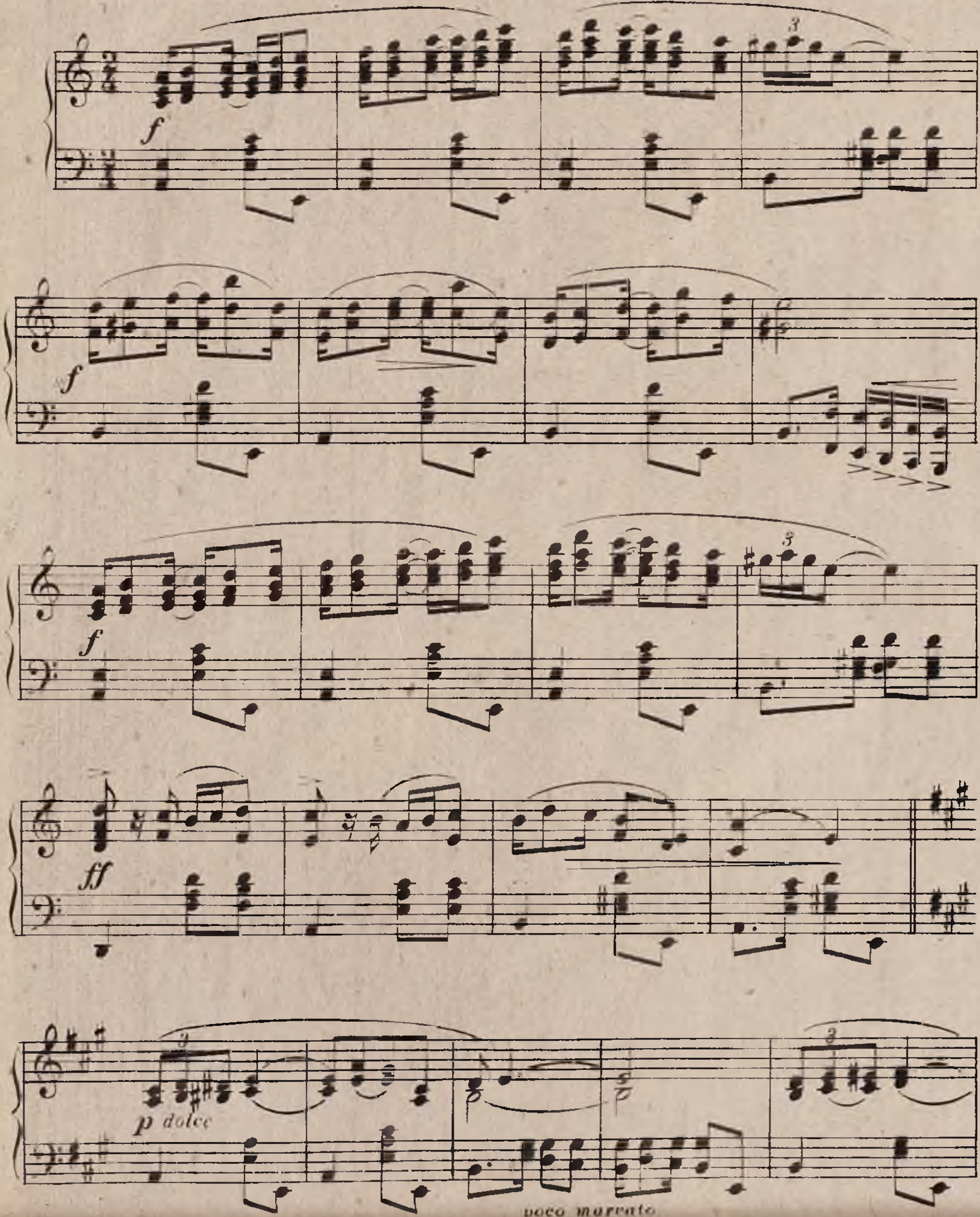
Zdjecie z filmu Leni Riefensthal „Olimpjada"

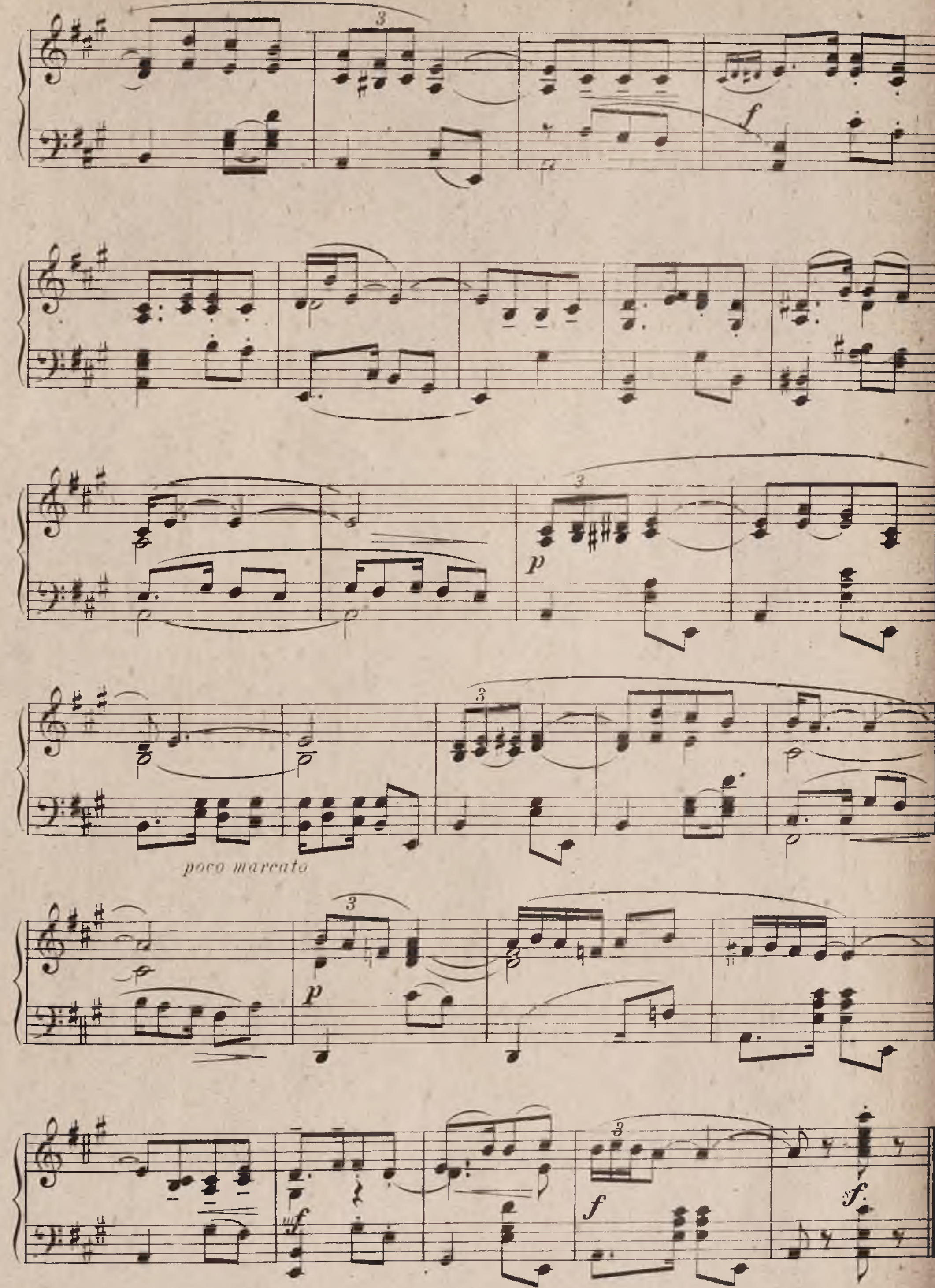
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

ARGENTYŃSKIE NOCE

TANGO

JERZY WILLNET





PANI APTEKARZOWA

HALINA ARTEMSKA — OBRAZEK

Pan Sey miał aptekę, a obok niej domek z oszkloną werandą, schodzącą drewnianymi stopniami w kwiecisty ogród. Dokoła tego ogrodu biegł wysoki parkan, wzmocniony murem żywopłotu, aby odgrodzić właściciela posiadłości od kurzu i spraw uczęszczanej drogi.

W domu pana Sey panował wzorowy porządek. W oknach kwitły fuksje, podłogi lśniły żółtą pastą, na piecach suszyły się dynie. Zapach mydła i terpentyny unosił się w mieszkaniu, stwarzając atmosferę szpitalnej czystości.

Zwierząt pan Sey nie trzymał. Nie lubił nieporządków i hałasu.

Ciszę, która wypełniała sobą pokoje, zakłócał jedynie ścienny zegar, bijący powolne godziny.

W takiem otoczeniu żyła pani aptekarzowa. W sukniach przenoszonych i ciemnych snuła się od wczesnego rana po domu. Kroki jej były lekkie i ostrożne. Robiła wrażenie osoby skradającej się. Mówiła niewiele i tylko to co było niezbędne.

Pan Sey był zadowolony. Był spokojny i pewny siebie. Obrastał tłuszczem i dobrem samopoczuciem. W niedziele i święta wkładał „pumpy" w tabaczkową kratkę, żółte sandały, czapeczkę z daszkiem i szedł z wędką na ryby. W razie słoty czytał gazety i kładł pasjanse. Czasem szedł na partyjkę do doktorostwa z sąsiedniej ulicy.

Pani Sey nigdy nie usiłowała zmienić ustalonego trybu życia. Od siedmiu lat małżeństwa nie poprosiła męża o nic. Ani razu nie podniosła głosu. Ani razu nie zapłakała. Nie dziwiła się nigdy i niczemu.

Wiosna tego roku przyszła bardzo wcześnie, wybujała nagłą zielonością, krzykliwa nowem życiem.

Nieśmiertelny płaszcz pani Sey, kapelusz, który zatracił wszelkie pozory przedmiotu służącego do nakrycia głowy, ceratowa torba, wszystko to co było dotychczas właściwe i niezamienne zaczęło nagle razić. W swojej szpetocie stało się odrażające. Z uczuciem skrępowania i wstrętu do siebie samej pomykała pani Sey swoimi kocimi krokami wysłonecznioną drogą. Po raz pierwszy od paru lat pomyślała, że przecież jest kobietą, że ma 28 lat i oczy, o których powiedział fotograf, kiedy pozowała do ślubnego zdjęcia, że są przepastne, jak morze. Mąż jej tego nigdy nie mówił. Pani Sey zdała sobie sprawę, że myśli o nim z niechęcią.

Na ulicy Nowej zetknęła się z doktorową w nowym lekkim kostjumie. Na ulicy Głównej minęła ją starościna świeżo utleniona, z ustami krzyczącemi czerwienią Lentherica. I pani Müllerowa była dziś inna — uśmiechnięta. Nawet córka rzeźnika w nowym kapeluszu wyglądała ładniej, niż zwykle. Na wszystkich ulicach zmienione, strojne kobiety.

Tylko ona jedna, aptekarzowa nie liczyła się z wiosną. Z westchnieniem kupiła marchew na rynku, móżdżek i kartofle. Ciężar tych sprawunków, wypychających torbę, wydał się jej ponad siły, ale dodźwigała go do domu z rezygnacją.

W domu czekała ją niespodzianka. Brat męża, łysy, starszy pan, który budził w niej zawsze uczucie lęku, przyjechał z wielkimi kuframi, z resztkami mebli po żonie nieboszczce i z projektem zamieszkania czasowo w domu braterstwa. Zaczęła krzątać się dokoła tego wszystkiego, ogarnięta paniką na myśl o obiedzie i kłopotach związanych z rozmieszczeniem tylu rzeczy.

Wyjmowała niezliczone drobiazgi kobiece z pakownych waliz, suknie, o których nie śniło się pani Sey. W związku z niemi, z zapachem, jakim były przesycone, przypominały się pani Sey skandaliczne historje, jakie krążyły na temat awanturniczego życia nieboszczki. Wyjmowała jedwabne płaszczyki, kostjumy z grubej wełny, szlafroki obszyte puszkiem; z wypiekami na twarzy rozwieszała to wszystko w szafie, niedbała o spóźniony obiad.

Z uśmiechem zawiesiła w oknie sypialnego pokoju klatkę z kanarkiem.

Pan Sey przyszedł, jak zwykle, do domu o godzinie drugiej minut piętnaście. Przywitał się z bratem napozór serdecznie, ale wciąż poprawiał okulary, co było dowodem rosnącego niezadowolenia. Rozmowa nie kleiła się. W pewnej chwili dał się słyszeć śpiew, narastający w długie, radosne trele.

Pan Sey poczerwieniał niepokojąco:

— Melaniu, co to takiego?

— Kanarek, Romciu, ale jedz zupkę, bo ci wystygnie — odpowiedziała śmiało.

Po południu, kiedy obaj bracia wyszli z domu, pani Sey zamknęła się w pokoju i zaczęła przymierzać wszystkie suknie. Nazajutrz wróciła z miasta z krótkimi włosami. W miejscu, gdzie dawniej opadał na szyję ciężki kok, piętrzyły się lśniące, spiralne loki.

— Zwarjowałaś? W głowie ci się przewróciło! — zaczął mąż.

Pani Sey nie odpowiadała. Patrzyła z uśmiechem w lustro.

W tydzień potem pani Sey uciekła. Zabrała z sobą wszystkie suknie i pieniądze, jakie były w domu. Widziano ją, jak wsiadała w towarzystwie miejscowego fryzjera do drugiej klasy dalekobieżnego pociągu.

Kiedy o godzinie drugiej minut piętnaście przyszedł na obiad, nie zastał ani obiadu, ani żony.

W oknie sypialnego pokoju kołysał się kanarek w zielonej klatce i wlepiał w aptekarza okrągłe oczy.



Elegancka suknia z czarnego aksamitu zyskuje wiele, przybrana plastycznym, złotym haftem (na kołnierzu w formie kolji).

Minęły dobre czasy, gdy można było mówić poprostu o „sukni popołudniowej". Miała ona uniwersalne zastosowanie między 5 a 8 wieczór i różniła się zasadniczo od porannego, sportowego stroju, zarówno jak i od sukni wieczorowej.

Dziś życie towarzyskie w ramach godzin popołudniowych zróżniczkowało się i urozmaiciło, a w ślad za tem poszło i większe zróżniczkowanie i urozmaicenie mody, przeznaczonej na popołudnie. Powstało wiele nuansów i odmian o odrębnym charakterze i odrębnem przeznaczeniu. Niema już dziś właściwie uniwersalnej „sukni popołudniowej", bo przecież wszystko zależy od tego, czemu poświęcamy popołudniowe godziny. Inaczej musi być popołudniu ubrana kobieta, która do wieczora przebywa w laboratorjum, zakładzie naukowym, biurze lub salach szkolnych — inaczej ta, która czas ten poświęca towarzyskim rozrywkom. A i rodzaj tych rozrywek precyzuje specjalny typ stroju: inaczej ubieramy się na popołudniowego bridża, który może przeciągnąć się do późnych godzin nocy, inaczej na herbatę u przyjaciółki lub na podwieczorek w modnej kawiarni czy cukierni — inaczej wkońcu na oficjalną wizytę lub tzw. „five", coraz częściej zresztą zastępowany przez mniej ceremonjalne i weselsze „cocktail parties" między 6 a 8 wieczorem.

Sukien popołudniowych jest dziś cała gama, różniących się od siebie często bardzo wybitnie. Niektóre pozostają proste w linji i materjale, z akcentem pewnej strojności, położonym jedynie na ciemnej barwie i efektownych dodatkach, jak np. piękny brylantowy clips, pasek ze złotej lub srebrnej skóry, strojny naszyjnik lub przypięty do sukni pęk kwiatów. Modne są również suknie i kostjumiki o surowym sportowym kroju, wykonane z lśniącej lamy — wyzyskujące ciekawy kontrast między skromnością fasonu a strojnym materjałem. Takie suknie nosi się w późniejszych godzinach popołudniowych na „cocktail party" lub na zebraniach towarzyskich, przeciągających się do północy.

Na wizyty i eleganckie popołudniowe herbatki, najstosowniejsze są suknie ciemne z pięknego matowego jedwabiu lub lśniącego satin, których całą ozdobą jest rafinowanie kroju: draperja, przymarszczenia, klosze i umiejętnie zastosowane skosy. Suknie te hołdują ogólnym tegorocznym dążeniom mody, polegającym na miękim modelunku

MIĘDZY PIĄTĄ A ÓSMĄ...



Na lewo: Pióra rajskiego ptaka pięknie zdobią popołudniowy kapelusz o brzegach gęsto stebnowanych.
Fot. Anders — Paryż.

Poniżej: Na bridża między 5 a 8 chętnie wybieramy się w skromnym kostjumiku z aksamitu lub wełny, ozdobionym dużym żabotem.



sylwetki przy zaakcentowaniu biustu i ramion, i jednoczesnem maksymalnem wyszczupleniu linji stanu i bioder. Wszystkie drapowania i fantazje kroju mają ten efekt na celu. Dlatego często poszerza się ogromnie rękawy, stosuje przymarszczenia i drapowania na linji biustu, wycięcia w szerokie karo, lub sercowate itp.

Prawdziwym przebojem tegorocznej mody na popołudniu, jest czarna suknia o prostej zupełnie linji, przybrana bogatym złotym haftem. Jest to haft wypukły, plastyczny, imitujący z jednej strony stare hafty kościelne, z drugiej robotę złotniczą. Naokoło wycięcia sukni, wysoko pod szyję sięgającego, haftuje się misterny złoty naszyjnik lub rodzaj okrągłego kołnierza, tym samym haftem zdobi się kieszenie, czasem szeroki pas lub wkońcu dół spódnicy. Takie przybranie haftem wypada najładniej na czarnem sukienku lub aksamicie.

Na herbatę w lokalu używane są wciąż najchętniej wytworne popołudniowe kostjumy z wełny lub aksamitu, przybrane efektownie lisami (białe lisy, to najmodniejsze dziś futro), noszone ze strojną bluzką z atłasu, lamy, koronki lub tiulu. Kostjumom tym towarzyszą zarękawki i małe kapelusze, w typie fantazyjnego beretu, „tricorne'u", „szeszji", lub





Na lewo: W dalszym ciągu modne są suknie zestawiane z dwóch materjałów. Elegancką i efektowną kombinację tworzy tył z matowego jedwabiu i przód z koronki.

RYSUNKI: EWA LEO

Powyżej: Dwie suknie popołudniowe z matowej krepy: pierwsza z głębokiem wycięciem w karo i krótkiemi rękawami nadaje się na popołudniowy dancing lub cocktail party — druga ma charakter poważniejszy i odpowiednia jest na wizytę, odczyt lub do kawiarni. Fot. Anders — Paryż.

wysokiego toczka, przybranego piórami a nawet futrem.

Jeśli chodzi o kolory, to do niedawna niemal wyłącznie obowiązujący w Paryżu kolor czarny, znalazł niebezpiecznych konkurentów w poważnych, zgaszonych jak stare pastele odcieniach głębokiego karminu, fioletu i amarantu. Wielkiem powodzeniem cieszą się też na popołudniu jedwabie w kolorze „corinthe" (wiśniowo-brązowy) i „acajou" tj. w odcieniu drzewa mahoniowego. Lamy przeznaczone na popołudnie, są w kolorach i deseniu również dyskretniejsze, niż te, które używa się na tualety wieczorowe. Często mają wzory geometryczne: paseczki, kraty lub drobną pepitę.

Elegancka pani, wybierając suknię popołudniową, potrafi wyczuć, jaki typ odpowiedni jest do danego celu: nie włoży lśniącej lamy do skromnego bridża, ani na małą herbatkę, na którą zaprosiła kilkoro bliższych przyjaciół. Wybierając się na oficjalną wizytę, unikać będzie ekscentrycznego modelu, który tak dobrze nadawać się będzie na elegancką „cocktail party", jak również nie ubierze się zbyt strojnie i kolorowo, udając się na poważny odczyt. Wyczucie stylu stroju i umiejętność dokładnego sharmonizowania go z każdą okolicznością i warunkami codziennego życia — to jedyny „sekret" prawdziwej elegancji.

Lady Like.

XXIII.

Kształtne ramiona

Częściej niżeli kształtnemi nogami obdarza natura kobietę proporcjonalnemi ramionami, których naturalne piękno należałoby tylko umiejętnie konserwować, aby z biegiem lat nie straciły uroku młodzieńczego wyglądu. Ale cóż się jednak dzieje? Oto wiele pięknych pań, świadomych tego ważnego atutu ich urody, wydelikaca swe ramiona w sposób, nie przynoszący im nietylko korzyści, ale wręcz zgubne wywierający skutki. Kto bowiem nie uprawia sportów a nie ma sposobności wykonywania jakiejś pracy ręcznej, łatwo może doprowadzić do zwiotczenia i powolnego zaniku mięśni, co uwidacznia się z czasem powolnem zdeformowaniem kształtnych i pełnych ramion.

Wynika stąd jasno obowiązek pielęgnacji ramion, wyrażający się w dostarczaniu im odpowiedniego ruchu, przy wykonywaniu którego mięśnie byłyby pobudzane do pracy, tak koniecznej dla zachowania ich pięknych pełnych kształtów. Im wcześniej zasady te wprowadzone zostaną w życie, tem dłuższy i pewniejszy będzie ich skutek, zapewniający piękne uformowanie i zaokrąglenie ramion.

Ćwiczenia gimnastyczne, pływanie i gra w siatkówkę, to najlepsze środki do zachowania jędrności i świeżości ramion. Należy je w miarę możności uprawiać, posiłkując się pozatem wskazaniami kosmetycznemi, warunkującemi utrzymanie skóry rąk i ramion w należytym stanie. Jednem z najważniejszych wskazań jest należyte odżywianie skóry przez naczynia krwionośne i dobre funkcjonowanie naczyń limfatycznych, mających odprowadzać produkty zużycia narówni z porami skóry, wydalającemi pot.

Aktywność naczyń krwionośnych pobudzamy masażem lub szczotkowaniem ramion. Używa się w tym celu miękiej szczotki, dobrze namydlonej lub też szczotkuje się zwilżoną szczotką namydlone przed myciem ramiona. O ile przy codziennem myciu ramion używać będziemy gumowej gąbki to i ona odda podobne usługi. Przy całkowitej kąpieli jednak warto stosować szczotkowanie ramion, bo ta metoda oddaje istotnie znakomite usługi.

Po szczotkowaniu, którego nie można zbyt forsować ze względu na delikatny naskórek ramion, należy je dobrze spłukać, wysuszyć miękim ręcznikiem, natrzeć wódką francuską oraz odrobiną neutralnego kremu do rąk. Przy silniejszem poceniu się pod pachami, trzeba kilka razy dziennie przemywać je ciepłą wodą i mydłem, a następnie zasypywać talkiem lub też pudrem dla dzieci, który stale używany, przeciwdziała poceniu się i neutralizuje przykry zapach potu.

Oto garść łatwych w zastosowaniu wskazań kosmetycznych, których zastosowanie musi po pewnym czasie dać korzystne widoczne zmiany w stanie zdrowotnym ramion.

Elwira.



Powyżej: Specjalnym pendzlem namydlamy ciało w kąpieli.



Na lewo: Oto jak należy masować ramiona zapomocą miękiej szczotki...



Na prawo: ...następnie zaś naciera się ramiona wódką francuską.

SUKCES SŁAWY CZERWIŃSKIEJ



Pierwszy występ sceniczny w Krakowie Sławy Orłowskiej-Czerwińskiej w tytułowej partji „Halki" Moniuszki potwierdził w pełni, że zaszczytne uznanie, jakie ta wybitna śpiewaczka zdobyła sobie zagranicą, jest wypływem dobrze zrozumianej oceny jej pięknego głosu i kunsztu wokalnego oraz kultury muzycznej. Aktorska strona kreacji artystki jeszcze w większej mierze podkreśla jej talent operowy.

KRONIKA ŚLUBNA



Z końcem ub. tygodnia odbył się w Krakowie w kościele S. S. Norbertanek na Zwierzyńcu ślub p. Wandy Otorowskiej, córki Ludwika i Antoniny z Zapałowiczów, z p. Edwardem Manitiusem, przemysłowcem z Warszawy. W uroczystościach ślubnych wzięło udział liczne grono przyjaciół i znajomych rodzin państwa młodych.

Z POLSKIEGO FILMU



Do utalentowanych artystów młodego pokolenia, występujących z powodzeniem nie tylko na deskach teatrów stołecznych, ale i w świetle jupiterów kinematograficznych, należy bezsprzecznie i Włodzimierz Łoziński, który kreuje jedną z głównych ról w filmie „Gehenna", według powieści Mniszkówny, w reżyserji M. Waszyńskiego.

TEATR WILEŃSKI



Teatr Miejski w Wilnie wystawił w oryginalnej, twórczej inscenizacji dyr. L. Pobóg-Kielanowskiego, dzieło Wyspiańskiego „Wyzwolenie". Główną rolę Konrada odtwarza Juljusz Balicki, który, jak stwierdza krytyka, dał zwłaszcza w trudnym drugim akcie kreację wręcz znakomitą. Na zdjęciu: J. Balicki (Konrad) i Z. Ślaska (Hestja).

„GŁĘBIA NA ZIMNEJ"

Teatr Kameralny w Warszawie otworzył nowy sezon debjutem polskiego autora Zygmunta Rylskiego, którego sztuka p. t. „Głębia na Zimnej", spotkała się z powszechnem uznaniem. Grana jest dobrze, zwłaszcza dyr. Adwentowicz daje świetną kreację. Na zdjęciu: Wanda Bartówna i St. Kwaskowski, doskonali odtwórcy ról głównych.





UŻYWAJ PASTY COLGATE DLA WŁASNEGO DOBRA.

Regularne używanie podwójnie działającej pasty do zębów Colgate jest przezornością, której nikt nie powinien lekceważyć. Pocóż niepotrzebnie narażać się na niemiły oddech i żółte zęby?

Przenikająca piana pasty Colgate czyści gruntownie, usuwając psujące się cząsteczki jedzenia ze szczelin między zębami i z dziąseł. Jednocześnie jej polerujące składniki czyszczą emalię i nadają jej blask.

Wypróbuj pastę Colgate. Spójrz w lustro—Twe zęby są czyściejsze i bielsze, a usta świeższe. Kup dziś jeszcze tubę pasty do zębów Colgate.

DZIECI UWIELBIAJĄ JEJ ORZEŹWIAJĄCY SMAK.







2.



3.



4.



5.



6.

Zamiast chusty wiejskiej

KAPTUREK

przebojem zimowego sezonu!



Zdjęcia: Zygmunt Borzęcki.

Mniejwięcej przed dwoma laty stały się modne w sezonie zimowym barwne chusty wiejskie, któremi piękne panie zaczęły okrywać swe główki, chroniąc włosy od wiatru i wilgoci. Mówiąc o chustach wiejskich, popełniamy pewną przesadę. Nie chodziło tu bowiem o typowe nakrycie głowy wieśniaczek, lecz o jego namiastkę w postaci zwykle jedwabnej, bardzo kolorowej chustki, którą po złożeniu rogami we dwoje zawiązywało się pod brodą. Takie przybranie głowy nadawało jej specjalnego uroku, bo powstawał interesujący kontrast między charakterem tego bądźcobądź wieśniaczego okrycia a wielkomiejskim wyglądem twarzyczki pięknej pani.

Moda chustek wiejskich przeszła z czasem i na sezon letni, gdy panie zrozumiały, iż taka chustka świetnie trzyma fryzurę i zabezpiecza włosy przed szkodliwem działaniem gorących promieni słonecznych. Z czasem zaczęto jednak wynajdywać słabe strony tego okrycia, dowodząc — całkiem słusznie — iż cały tył głowy pozostaje niechroniony przed wiatrem i mrozem. Ktoś wpadł na kapitalną ideę uformowania z takiej chustki czegoś w rodzaju kapturka, który już całkowicie spełnia zadanie zimowego nakrycia głowy. Nowy model przyjął się momentalnie i już w ubiegłym sezonie widziało się go wszędzie w Szwajcarji, a nawet w Polsce pojawił się, na razie tylko w kilku egzemplarzach, w Zakopanem. Mało która z pań wiedziała bowiem, jak taki kapturek powstaje i jak go się nosi, a te, które posiadły „wielką tajemnicę", napewno nie chciały jej nikomu zdradzić. Manipulacja jest bardzo prosta:

1) Chustę kwadratową (70×70) składamy we dwoje (od siebie). 2) Wierzchnią połówkę składamy znowu we dwoje, ale do siebie. 3) Tak złożoną chustę odwracamy do góry nogami... 4) ...i kładziemy na stole. 5) Zakładamy do siebie dwa rogi, przez co powstaje duży trójkąt. 6) Podstawę tego trójkąta zakładamy (rolujemy) dwa do trzech razy (regulując w ten sposób rozmiary kapturka, zależnie od wielkości głowy). 7) Kapturek jest gotowy: przytrzymując oba końce, wkładamy go na głowę... 8) ...zawiązując oba końce pod brodą. 9) Jak widzimy, kapturek chroni głowę nie tylko z boku, ale i z tyłu od wiatru i śniegu.

Z. B.

9.



8.



7.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ROSÓŁ JARZYNOWY (z kuchni dietetycznej). Dla osób, którym wskazane są tylko potrawy jarskie, nie chcących jednak używać tuczących zup zasmażanych, podajemy przepis na smaczny rosół, przyrządzony z samych tylko jarzyn. Dodatki są następujące: 1 dkg suszonych grzybów, pół główki włoskiej kapusty, dużą marchew, mały kalafior, parę pietruszek, kawałek selera, dwa ząbki czosnku i średniej wielkości cebulę. Kapustę należy sparzyć wrzącą wodą, cebulę opiec na blasze, grzyby wymyć w ciepłej wodzie, resztę jarzyn pokrajać drobno. Jedynie kapustę gotuje się w całości, a kraje ją dopiero przy wydawaniu. Jarzyny zalewa się litrem zimnej wody, wsypuje łyżeczkę soli i gotuje powoli, aż wszystkie jarzyny zupełnie zmiękną. Wydając rosół, odrzuca się cebulę i czosnek i zasypuje rosół płatkami, które się wraz z jarzyną gotują jeszcze chwilę. Grzybki należy pokrajać w cienkie paseczki. Celem zaostrzenia smaku rosołu, dodać można łyżeczkę extraktu grzybowego lub pasty pomidorowej.

BUDYŃ Z MÓŻDŻKU CIELĘCEGO (przystawka). Sparzony wrzątkiem móżdżek oczyszcza się z błon i żyłek, następnie zalewa gorącą osoloną wodą z łyżeczką soku cytrynowego i gotuje przez 10 minut. Odcedzony z wody móżdżek, rozciera się w miseczce, dolewa 1/8 litra słodkiej śmietanki, dodaje 2 żółtka, szczyptę soli i pieprzu oraz łyżkę roztopionego masła i ubija miotełką od piany przez kilka minut. Wkońcu dodaje się pianę z pozostałych białek oraz dwie łyżki tartej bułki, miesza na jednolitą masę, nakłada do formy budyniowej natartej masłem i gotuje na parze około godziny. Z formy wyrzuca się budyń po częściowem ostudzeniu i oblewa na półmisku sosem grzybowym lub sardelowym.

POTRAWKA Z ZAJĄCA („CIVET"). Dwa przodki zające kraje się w kawałki i dusi z kawałkiem (10—15 dkg) tłustej wieprzowiny lub wędzonki przez pół godziny. Następnie dorzuca się płucka, wątróbkę i serce zająca, dodaje drobno posiekaną małą cebulkę, łyżeczkę papryki, troszkę jałowca i listek bobkowy, polewa rosołem i dusi dalej pod przykryciem do miękkości. Po odrzuceniu listka bobkowego, zasypuje się potrawę łyżką mąki, smaży z nią przez chwilę, podlewa szklaneczką czerwonego wina i paru łyżkami rosołu, a gdy sos się zagotuje i zgęstnie, potrawka jest gotowa. Wydaje się ją na głębszym półmisku, otoczoną ryżem.

KUROPATWY NADZIEWANE WĄTRÓBKĄ. Chcąc z tych małych ptaszków sporządzić danie wydatniejsze, nadziewamy je wątróbką. Na 2—3 kuropatw bierzemy 20—30 dkg wątróbki cielęcej i obciągniętą z błony, moczy się ją przez parę godzin w mleku, następnie kraje w płatki, osmaża szybko na maśle i przepuszcza przez maszynkę wraz z surowemi wątróbkami i kuropatw, 10 dkg kawałkiem słoniny i połówką małej bułeczki. Do masy tej dodaje się jedno całe jaje i 1 żółtko i uciera ją przez dobrą chwilę. Napełnione kuropatwy zaszywa się, szpikuje następnie piersi gęsto słoninką i piecze przy częstem polewaniu, aby nie wyschły, przez trzy kwadranse. Upieczone przestudza się, kraje na połówki i układa na grzankach z bułki. Sos pozostały podprawia się śmietaną lub kieliszkiem madery i podaje osobno w sosjerce.

TORT PIASKOWY. 25 dkg masła uciera się na pianę, potem dodaje się wśród ciągłego ucierania po jednemu 5 całych jaj i po trosze 25 dkg mączki cukrowej. Wkońcu wsypuje się 25 dkg dobrej mąki i troszkę otartej skórki z cytryny. Gładką masę wlewa się do natartej masłem formy i piecze w dobrze stopniowanym piecu przez godzinę. Tort taki można po wystudzeniu przeciąć na trzy placki, przesmarować je marmoladą, złożyć napowrót i oblać lukrem. Nienadziewany jest również dobry i podany jako ciasto do herbaty lub kawy, zyska napewno ogólne uznanie.

KRUPNIK POLSKI. W dobie polowań itp. imprez zimowych dobrze będzie zaznajomić się z przyrządzaniem tego ogólnie przez panów lubianego i rozgrzewającego polskiego napoju. Sporządzić go można na każdem ognisku rozpalonem w polu, bo przepis jest łatwy, należy tylko zabrać ze sobą potrzebne ingradjencje, t. j. miód i korzenie (kawałek cynamonu i parę goździków) oraz czysty dobry spirytus. Proporcje są: 1/4 litra miodu, 1/2 litra spirytusu i 2 dkg korzeni. Miód zagotowany z korzeniami i zeszumowany, miesza się na gorąco ze spirytusem i podaje zaraz póki gorący.

PASTA Z PIKLINGÓW DO KANAPEK. Z 1—2 piklingów ściąga się skórkę i zeskrobuje tłuszcz, znajdujący się na wewnętrznej stronie skórki. Tłuszcz ten uciera się z paru przetartemi przez sitko twardemi żółtkami, 1 surowem żółtkiem, paru łyżkami oliwy, łyżeczką musztardy, szczyptą soli i pieprzu. Mięso piklinga oczyszcza się z ości i puszcza przez maszynkę z kawałkiem tłuszczu od szynki, poczem miesza się z utartą masą żółtkową na gładką pastę, którą się smaruje grzanki z chleba.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Odpowiednie sterylizowanie słoików do konserw jest zawsze aktualne i ważne w gospodarstwie domowem. Oto praktyczny przepis na wykonanie sterylizacji, który ilustruje obok zamieszczone zdjęcie: pod słoikiem odwróconym dnem do góry stawiamy doniczkę z otworem, w który wkładamy knot siarkowy i zapalamy go. Gryzący dym, wydzielający się z knota doskonale sterylizuje szkło przed użyciem go do konserwowania.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 45

Październik

31 dni



NIEDZIELA 30 Chryst. Króla
Rosół "Julienne".Budyń z móżdżków. Kuropatwy nadziewane.Kompot. Tort piaskowy.
Kolacja:Pasztet z dziczyzny z sosem remulade.

PONIEDZ. 31 Wolfganga †
Zupa,jarzynowa z płatkami. Hachee z mięsa rosołowego z sadzonem jajem.Potrawka z zająca z ryżem.Jabłka w cieście.
Kolacja:Omlety z grzybkami /rydzami/.

Listopad

WTOREK 1 Wszyst. Święt.
Bulion z żółtkiem.Paszteciki z kiełbasą. Polędwica wieprzowa z duszoną kapustą. Kisiel czekoladowy z kremem waniljowym.
Kolacja:Parówki w sosie musztardowym.

ŚRODA 2 Dzień Zadusz.
Zupa z włoskiej kapusty.Bukiet jarzynowy /brukselka,kalafior itp./Zrazy siekane z kaszką krakowską.Naleśniki z serem.
Kolacja:Ruskie pierogi z słoninką.

CZWARTEK 3 Huberta, Syl.
Zupa pomidorowa z ryżem.Rizotto z groszkiem.Pieczeń barania w ostrym sosie z makaronem.Jabłka zapiekane w biszkopcie.
Kolacja:Szpinak w omletach.

PIĄTEK 4 Karola
Zupa rybna z kluseczkami.Fasolka "jasiek" z masłem.Zrazy z sandacza pieczone w maśle sardelowem z smażonymi ziemniaczkami.Strudel z jabłkami.
Kolacja:Ryby wędzone.

SOBOTA 5 Elżbiety
Zupa czernina z odpadków zająca przygotowanego na niedzielę.Makaron z sosem pomidorowym.Rozbratle prędkie z ogórkiem.Kompot.
Kolacja:Kapuśniaczki.



HOCKI-KLOCKI

ŚLUB Z PRZESZKODAMI.



Gdy jąkała nie może wykrztusić sakramentalnego „tak"! „Ric et Rac"

Rozwiązania z Nru 43-go.

KWADRAT MAGICZNY.

5	10	3
4	6	8
9	2	7

NUMER SAMOCHODU.

Numer samochodu jest 9240. Liczby pierwsze, o których profesor wspominał, są: 2, 3, 11 i 13.

DODAWANIE.

257
368
479
581
692
2377

ROZRYWKI UMYSŁOWE

DWUDZIESTU PIĘCIU ROBOTNIKÓW.

Pewien pan, mający szczególną skłonność do gromadzenia wszystkiego w grupach po 9, kupił kwadratowy plac. Kupioną ziemię podzielił na 9 równych sobie części, a na środku zbudował dom zaopatrzony w okna ze wszystkich czterech stron. Następnie wynajął 24 robotników i wyznaczył im pracę w ten sposób, że w każdej kwadratowej działce pracowało po trzech, dzięki czemu patrząc przez okna z każdej strony widział 9 robotników.

3	3	3
3		3
3	3	3

Wkrótce potem zwrócił się do niego jakiś bezrobotny z prośbą o pracę. Dziwak odmówił, gdyż musiałby naruszyć piękną dziewiątkową symetrję. Dowiedziawszy się o przyczynie odmowy bezrobotny zaproponował, że ustawi ludzi w ten sposób, że przy 25 pracujących robotnikach z każdej strony będzie w dalszym ciągu po 9. Jak należy to zrobić?

KTO TO JEST?

Pan Wróbel, patrząc na portret, wiszący na ścianie gabinetu, zauważył: „Ojciec tej osoby był synem mego ojca; nie mam ani braci, ani sióstr, ani syna". Jaki zachodzi stopień pokrewieństwa między panem Wróblem a osobą wymalowaną na obrazie?

EGZAMIN WSTĘPNY.

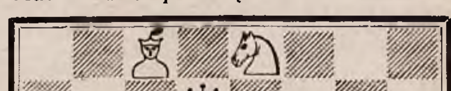
„Pięciu moich siostrzeńców zdawało egzamin wstępny do Szkoły Wojskowej" — rzekł do mnie generał. „I wszyscy zdali. Każdy z kandydatów miał odpowiedzieć na 30 pytań po sześć ze strategji, taktyki, historji wojska, geografji i inżynierji. Jednak każda grupa pytań była rozważana oddzielnie, a to w tym celu, aby zachęcić do jak najdalej posuniętej specjalizacji. Jeśli kandydat, zdający np. ze strategji, odpowiedział na x pytań, wówczas x mnożono przez x i wynik (x^2) uważano za ogólny stopień z **danego przedmiotu.** Natomiast stopień ogólny z egzaminu chłopcy otrzymali przez dodanie stopni z każdego przedmiotu".

„O — zauważyłem po namyśle — jeśli przyjęto taką zasadę klasyfikacji, to łatwo mogła powstać ogromna różnica między najlepszymi i najgorszymi stopniami, otrzymanymi ze względu na **daną sumę poprawnych odpowiedzi.** „A tak. I chłopcy nazwali różnicę między najlepszym i najgorszym stopniem **m.** I co ciekawe, że **m** było takie same dla każdego chłopca ze względu **na ogół poprawnych odpowiedzi,** mimo, że ogólna suma stopni, jaką każdy faktycznie otrzymał, była dla każdego inna. A wynik egzaminu był ogromnie ciekawy. Jeśli rozpatrzymy ogólną ilość pytań, na którą każdy z chłopców odpowiedział, to najlepszy był Alfred, za nim kolejno Benjamin, Cyryl, Daniel i Edek. Jednak jeśli rozpatrzymy ich stopnie, obliczone w sposób, który przed chwilą przedstawiłem, to najlepszy był Daniel, potem Cyryl, Benjamin, Alfred i Edek. Edek i tu i tam był najgorszy. Ale, dzięki Bogu, zdał, bo najmniejsza wymagana suma stopni była 60". Ile stopni otrzymał każdy z kandydatów?

ZADANIE SZACHOWE.

Franz Skalik.

Mat w dwu posunięciach.



Białe: Król: e1, hetman a6, wieża h5, gońce: c8, d4, skoczki e5, e8, piony e6, f2, g5.

Czarne: Król f5, hetman d7, piony f3, f4. (10+4=14).

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

KRAKÓW. W reżyserji p. Józefa Karbowskiego i oprawie dekoracyjnej p. Karola Gajewskiego wystawił teatr im. Słowackiego najnowszą komedję Adama Grzymały-Siedleckiego pt.. **„Ormianin z Bejruthu“.** W roli tytułowej doskonale spisał się p. Kazimierz Fabisiak, tworząc postać arcyzabawną i „wytrzymaną“ od początku do końca. W roli urodziwej Marfy wystąpiła p. Marja Arczyńska. Czwórkę dorosłych dzieci kupca ormiańskiego stanowili pp. Hanna Brochocka, Wanda Niedziałkowska, Juljusz Bobrowski i Apolinary Possart. P. Zdzisław Mrożewski odtworzył postać Jemiela, kaukaskiego górala. Z innych wykonawców należy wymienić pp. Kazimierza Opalińskiego (Ali Egipcjanin), Janinę Wernicz (pierwsza żona kupca ormiańskiego) i Romana Wrońskiego („indywiduum lewantyńskie“).

WARSZAWA. Miłośnicy sztuki teatralnej pamiętają znakomitą kreację Osterwy jako Przełęckiego w sztucę Żeromskiego **„Uciekła mi przepióreczka“.** Obecnie utwór ten wznowiła Reduta, przyczem Osterwa znowu przejmował do głębi swą kreacją. Smugoniową była nieznana dotychczas p. Buchwaldowa, wychowanica Instytutu Reduty.

GRODNO. Teatr miejski, będący równocześnie teatrem objazdowym województwa białostockiego, wystawił ostatnio „Szóste piętro“ Gehriego i „Jana“ Bus-Feketego. Najnowszą premjerą była sztuka Indiga pt. **„Człowiek pod mostem“** w opracowaniu reżyserskiem Wł. Czengeryego. Wykonawcy w osobach pp. Jasnorzewskiej, Orzeckiej, Gintelówny, Bylińskiego, Bystrzyńskiego (rola tytułowa) i Bogusławskiego odnieśli zasłużony sukces.

W przygotowaniu znajduje się komedja Devala „Subretka“, grana obecnie na wielu scenach polskich. Na dzień 11 listopada teatr miejski wystawi „Warszawiankę“ i fragmenty z „Zygmuntą Augusta“ Wyspiańskiego.

NOWE KSIĄŻKI

Alain Fournier: „Mój przyjaciel Meaulnes“. Wydawn. J. Przeworskiego. Niezwykła to książka: autor opowiada rzeczy codzienne, zdarzenia tuzinkowe, a jednak od pierwszej do ostatniej kartki unosi się nad bohaterami powieści jakaś dziwna tajemniczość, której nie podkreśla jednak autor. Atmosfera, w której czytając książkę przebywamy, wytwarza się powoli, krok za krokiem. W małem francuskiem miasteczku żyje kilkunastu uczni będących na stancji u nauczyciela miejscowej szkoły. Żyją zwykłem życiem uczącej się młodzieży, monotonnie, sennie, tem więcej, że otoczenie ich to zwykli, nieciekawi, prości ludzie. W pewnej chwili wśród uczniów zjawia się nowy kolega — „wielki Meaulnes“. I on właśnie wprowadza w ten światek młodzieży jakiś dziwny niepokój, jakiś głód nadzwyczajności, romantyzmu, wielkich przeżyć. — Chcąc przywieźć z stacji rodziców swego nauczyciela, „wielki Meaulnes“ wybiera się w zimie bryczką w podróż: nie znając okolicy, tem więcej, że drogi są pokryte grubo śniegiem, błądzi i zamiast do stacji, dojeżdża po długiej wędrówce do jakiegoś opuszczonego dworu, w którym w tej chwili odbywa się bal. Dziwaczne to przyjęcie: gospodarzami domu są dzieci poprzebierane w staromodne kostjumy i okoliczni wieśniacy. Autor nie podkreśla tej tajemniczości, ale całe to zdarzenie przypomina najbardziej fantastyczne i niepokojące epizody literatury francuskiej. Chłopak zakochuje się w jednej z obecnych, młodej pannie, o której zresztą nic bliższego nie wie. Od tej chwili wszystkie myśli jego biegną do samotnego dworu i do swej ukochanej. Powoduje to liczne komplikacje powieści, wkońcu, przypadkiem spotyka swą kochaną i żeni się z nią. Zola, wielki autor francuski napisał „Le rêve“, dziwną książkę pełną tych subtelnych, nie dających się skonkretyzować nastrojów: byłaby ona może najbliższą tonem powieści Fourniera. Jest to książka naprawdę ciekawa: oddychamy w niej innem powietrzem, przeżywamy rzeczy drobne, ale jakże inaczej, niż to się nam zdarza przy lekturze powieści! Wartościowa to pozycja literatury francuskiej. Tłómaczenie naogół dobre, poza kilkoma zasadniczemi błędami.

JGM.

„Ład serca“. J. Andrzejewskiego. (Rój). W powieści młodego pisarza, który niedawno debjutował tomem nowel „Drogi nieuniknione“, uderza poważny stosunek do zagadnień etycznych. Po przez sensacyjny wątek opowiadania przebija troska o życie duchowe człowieka. W tej postawie autora „Ładu serca“ jest coś, co przypomina Mauriaca lub Bernanosa. Wydarzenia zewnętrzne są tutaj niejako pretekstem dla poruszenia konfliktów wewnętrznych jednostki.

Jak słusznie zauważył Adam Grzymała-Siedlecki — autor nie stara się nawet o zlokalizowanie akcji w jakiemś określonem środowisku: zaciera ramy obrazu, choć wiadomo, iż akcja utworu rozgrywa się na kresach wschodnich. Ale bez wielkich zmian w strukturze powieści moglibyśmy przyjąć, iż rozgrywa się ona gdzieindziej.

Książkę przesyca ciężka, ponura atmosfera, a jednak Andrzejewski jest naturą religijną i stara się dotrzeć do źródła wiary w człowieku. Nawet najgorszy grzesznik może się odrodzić duchowo, byle tylko sięgnął po zbawienne lekarstwo. Taki wniosek płynie z wywodów autora.

J. J.

KONKURS NA FELJETON

Wobec licznych żądań przesunięcia terminu konkursu na feljeton o książce, Związek Księgarzy Polskich postanowił przedłużyć czas nadsyłania feljetonów konkursowych o jeden miesiąc, tj. do dnia 15 listopada br. Przypominamy, iż na konkurs mogą być zgłaszane tylko feljetony drukowane w jednym z czasopism polskich w okresie od 1-go czerwca do 15-go listopada br — Feljetony konkursowe nadsyłać należy pod adresem „Przeglądu Księgarskiego“, Warszawa, ul. Kredytowa 10, m. 7, z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs“.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 30 października.

16.30 Koncert rozrywkowy.
17.50 Teatr Wyobraźni: „Gałązka rozmarynu“ — Nowakowskiego.
22.00 „Wujaszek szuka płaszcza“, Wesoła Syrena.
22.40 Muzyka lekka w wyk. Ork. Rozgł. Lwowskiej.

Poniedziałek, 31 października.

16.40 Koncert z Łodzi.
17.35 Recital fortepianowy Witolda Małcużyńskiego.
18.30 „Czerwony kolor na wiszni“, reportaż dźwiękowy z Filipin — wsi słynącej z wyrobów tkackich.
19.30 „Z pieśnią i tańcem przez Mazowsze“ — suita muzyczna. Transmisja do Włoch.
21.00 Koncert symfonicz. w wyk. Orkiestry P. R.
22.30 Recital śpiewaczy Janis Niedra — bas.

Wtorek, 1 listopada.

16.00 „Z pieśnią po kraju“.
16.30 Recital fortepianowy w wyk. Zofji Rabcewiczowej.
17.00 Teatr Wyobraźni: „Z tamtego świata“.
17.50 Koncert popul. z Poznania.
19.50 Dymitr Szostakowicz: Symfonja nr. 1 op. 10.
21.00 Stanisław Moniuszko: „Widma“ — sceny liryczne.
22.15 Włoskie sonaty skrzypcowe, koncert.

Środa, 2 listopada.

15.00 Koncert w wyk. Kwartetu Smyczkowego Rozgł. Krakowskiej.
16.30 Utwory Cezarego Francka wykona na organach J. Pawlak.
17.20 Koncert solistów.
19.00 Muzyka salonowa w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Henryka Sztompki.

Czwartek, 3 listopada.

16.35 Pieśni Mendelsohna i Schuberta w wyk. zespołu „Pro arte“.
17.10 Koncert myśliwski (W dzień św. Huberta).
19.00 Muzyka lekka i taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.10 Ze śpiewem i tańcem przez Polskę, koncert z Katowic.
22.00 Koncert dawnej muzyki.
23.05 Koncert muzyki polskiej w wyk. Ork. P. R.

Piątek, 4 listopada.

15.30 Muzyka obiadowa w wykonaniu Małej Ork. P.R.
16.30 Recital skrzypcowy Jerzego Stefana.
17.20 Recital śpiewaczy Stefana Witasa.
18.30 „Srebrne lichtarze“ — słuchowisko J. Szaniawskiego.
21.00 Chór Polskiego Radja pod dyr. St. Nawrota.
21.15 Koncert symfoniczny, trans. z Filharmonji Warszawsk.

Sobota, 5 listopada.

15.30 Muzyka obiadowa z Wilna.
16.30 Z zapomnianych naszych pieśni, koncert z Krakowa.
19.15 „Pociąg w nieznane“ — koncert rozrywkowy z Katowic.
21.00 „Wieczna tęsknota“ — operetka.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.